Nr. 41. Warszawa, dnia 14 (2) Października 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

REFORMA WYBORCZA W AUSTRYI.

Telegraf rzucił krótką i prawdziwie węzłowatą wiadomość, że rząd austryacki wniósł do świeżo otwartej Rady państwa „projekt powszechnego prawa głosowania.“ Wobec niespodzianki, a nadewszystko wobec niewyraźnej redakcyi doniesienia, niepodobna dziś określić, jak daleko i w jakim kierunku ma być dokonana zmiana; tymczasem więc zaznajomimy czytelników *Prawdy* z obecną organizacyą wyborczą w Austryi *).

Rada państwa składa się z dwu izb: wyższej, obejmującej rozmaitych dostojników rodu, urzędu i zasługi, a liczącej (od roku 1885) 204 członków, oraz z niższej, złożonej z posłów wybieranych, w ogólnej liczbie (od r. 1873) 353. Ilość ich, przypadająca dla każdego kraju monarchii, podzielona jest na cztery części, z których każdą wybiera inna grupa (kurya) obywateli: 1) wielcy właściciele ziemscy, 2) miasta, 3) izby handlowe i 4) gminy wiejskie. Ustawa określa szczegółowo, ilu deputowanych w każdym kraju ma wybierać każda grupa (I—85, II—97, III—21, IV—131). Nadto druga i czwarta w połączeniu wybierają 19 deputowanych. Posłowie pierwszych trzech wybierani są przez głosowanie bezpośrednie, czwartej — przez pośrednie, dwustopniowe. Wyborcy pierwszej kategoryi tworzą jedno zgromadzenie, które głosuje na kandydatów z listy. Wyjątek od tej reguły stanowi Galicya (a także Tyrol, Bukowina i Czechy), podzielona na 20 okręgów większej własności ziemskiej, z których każdy wybiera jednego posła. Na mocy prawa z r. 1882 wyborcy do parlamentu winni zadośćuczynić warunkom, wymaganym przez ustawę wyborczą sejmów prowincyonalnych. Oprócz 24 lat wieku obowiązkowy jest pewien cenzus majątkowy (od 50—250 złr. podatku gruntowego). Kobiety nie są pozbawione praw wyborczych i mogą je wykonywać bądź osobiście, bądź przez pełnomocników. Instytucye lub korporacye, należące do tej kategoryi, a także wojskowi, pozostający w czynnej służbie, głosują za pośrednictwem swoich przedstawicieli. Wyborcami w miastach a prawyborcami (*Wahlmänner*) w gminach wiejskich mogą być ci, którzy posiadają odpowiednie kwalifikacye wobec sejmów krajowych oraz ci, którzy opłacają 5 złr. podatku bądź z majątku, bądź z dochodu. Wyborcy gmin wiejskich są dwojakiego rodzaju: jedni na posłów głosują pośrednio, tj. za pomocą wybranych delegatów; drudzy — są to właściciele ziemscy, którzy z opłacanego podatku nie mogą być zaliczeni do kategoryi pierwszej — większej własności ziemskiej.

Wybieralnym jest każdy obywatel płci męzkiej, który ukończył lat 30, przynajmniej od trzech lat korzysta z praw obywatelstwa austryackiego, posiada prawo wyborcze czynne lub też może być wybranym do sejmu prowincyonalnego.

Ustawa wyborcza sejmów krajowych jest dość podobna do poprzedniej — parlamentarnej. I tu są cztery kategorye wyborców. Większa własność i miasta głosują bezpośrednio, izby przemysłowe i gminy częścią pośrednio. W pierwszej grupie prawo służy każdemu obywatelowi, posiadającemu własność tabularną i opłacającemu przynajmniej 100 złr. podatków. W drugiej uprawnieni są wszyscy, którzy są pomieszczeni na liście wyborców do rady miejskiej (według podatków) w pierwszych $^2/_3$ jej częściach, a nadto urzędnicy, adwokaci, księża, nauczyciele itd. Izby handlowe mianują delegatów, którzy wybierają posłów. W gminach wiejskich prawyborcy, tj. ci, którzy znajdują się w $^2/_3$ częściach listy uprawnionych kandydatów do rady gminnej, delegują wyborców (1 na 500 mieszkańców). Zaliczeni do tejże grupy właściciele majątków tabularnych, którzy nie opłacają 100 złr. podatku, głosują bezpośrednio.

Ponieważ wiadomość telegraficzna zaznacza, że w nowym projekcie „kurye zostały utrzymane“ a „podstawy konstytucyi nienaruszone,“ więc łatwo odgadnąć, że reforma wyborcza tylko nieco podeprze i wyłata stary system, ale podwalin jego nie zmieni. Przedewszystkiem więc podział na cztery klasy będzie trwał dalej, co już wyłącza możliwość równouprawnienia obywateli wobec urny wyborczej. Ze wzmianki, że każdy umiejący czytać i pisać, a także wysłużeni żołnierze otrzymają prawa wyborcze, wnosić można, że one rzeczywiście zostaną znacznie rozszerzone. Zresztą świadczy o tem rozesłany telegrafem krzyk rozmaitych gęsi, broniących Kapitolu austryackiego. *N. fr. Presse* nazywa projekt potworną próbą obalenia konstytucyi, gdyż według niej stan mieszczański zostaje starty na miazgę i wrzucony między dwa koła — szlachty i proletaryatu, a miasta niemieckie na Morawach zostaną zalane przez falę słowiańską. Wszystkie zaś gazety przyznają, że na spodziewanej reformie większa własność nic nie straci, a bezwłasność olbrzymio zyska. Skutkiem tego we wszystkich prawie klubach parlamentarnych zawrzało, a najbardziej wrzeszczy lewica niemiecka, która czuje się najpoważniej zagrożoną. Jedni przytem w przedsięwzięciu hr. Taaffego widzą zamach na samorząd krajów, drudzy — wzmocnienie antisemityzmu i proletaryatu, inni walkę z żywiołem niemieckim itd.

Nie znając projektu, pamiętając zresztą, że on dopiero jest projektem, który Rada państwa przez swe obrady przesieje, nie możemy nad tym przedmiotem zastanawiać się dłużej i musimy poczekać, aż on

*) Okolski, *Ustrój państw europejskich*.

przed nami stanie jasno i w ostatecznej swej formie. Dziś może nas tylko jeszcze zająć pytanie: co skłoniło hr. Taaffego do podjęcia tej reformy — w tajemnicy. Nic innego, tylko chęć zapewnienia rządowi popularności i sympatyi. Bądź co bądź, jest to fakt dość niezwykły, a w każdym razie charakterystyczny, że nie jakieś stronnictwo, ale sam rząd występuje z myślą rozszerzenia praw wyborczych na dalsze kręgi narodu. Skutkiem tego wszystkie kluby czują się zawstydzone i zdumione niespodzianką, tem bardziej, że dotychczas ich przedstawiciele bywali zawsze powoływani do przedwstępnych narad nad każdym zamiarem rządu. Pominięcie ich w tym wypadku, przygotowanie projektu w ścisłej przed nimi tajemnicy wzburza je co najmniej tyle, ile zuchwała treść. Hr. Taaffe naturalnie śmieje się i cieszy z tej wrzawy i zdziwienia. Bo gdyby nawet przegrał walkę, pozostanie mu sława śmiałości, taka sama, jaką ozdobił się Gladstone bilem irlandzkim. Kto wie zresztą, czy bohater angielski nie posłużył mu za przykład, kuszący do naśladowania.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Echa „pojednania“ Bismarka z cesarzem niemieckim nie przestają odbijać się w dziennikach. Milczące z początku organy żelaznego księcia, otrzymawszy wreszcie natchnienie od swego pana, zabrały głos w tej sprawie. Zdaniem ich *„twórca cesarza i cesarstwa“* nie występował nigdy (!) przeciw osobom, lecz przeciw działaniom, które uważa za szkodliwe. Właściwie nie wiadomo, w czem tkwi ta szkodliwość, Bismark bowiem dotąd poniewierał tylko osobami, które zajęły jego miejsce i piorunował na politykę ekonomiczną, która jemu, jako posiadaczowi obszernych włości i producentowi rolnemu, szkodę przynosi. A więc potępia on przedewszystkiem traktat handlowy z Austryą i przygotowywany obecnie z Rosyą dla tego, że będzie musiał taniej sprzedawać zboże i drzewo.

Obrady konferencyi berlińskiej w przedmiocie umowy celnej z Rosyą trzymane są w tajemnicy i zaledwie jakieś drobne o nich wiadomości przenikają do gazet. Podobno Niemcy już określiły swoje żądania, ale różnica wymagań i zapatrywań obu stron jest jeszcze wielka. Mimo to zarówno dzienniki ruskie, jak niemieckie nie tracą nadziei, że w końcu zgoda będzie osiągnięta. I my o tem nie wątpimy, gdyż oba państwa długo wojny celnej toczyć z sobą nie mogą.

Hiszpania plącze się powoli w wojnę z kabylami. Z mocy traktatu, zawartego w r. 1860 z Marokiem, miała ona prawo ufortyfikowania Melilli, z którego zaczęła korzystać i wznosić szańce. Nie podobało się to kabylom, którzy napadli na hiszpanów, a pomimo że zostali odparci ze znaczną stratą, nie przestali krążyć około Melilli i grozić nowymi atakami. Na zażalenie Hiszpanii sułtan marokański odpowiedział obietnicą ukarania napastników, ale wiadomo, jak szczere są podobne przyrzeczenia, podyktowane przez głęboko schowany gniew. Gdyby Mulej Hassan był pewien, że kabylowie wypędzą najezdników, tylko by im pomógł w tem przedsięwzięciu, jeżeli zaś wystąpi przeciw nim, to tylko dla tego, że nic nie zrobią a jego narażą.

Generalny inspektor armii francuskiej, Cools, wyraził się w swem sprawozdaniu bardzo nieprzychylnie o oficerach rezerwy. Powstał z tego powodu krzyk, skargi itd. Obecnie najwyższa rada wojskowa potwierdziła jego opinię z dodatkiem bardzo nieprzyjemnym dla organizatora rezerw — Freycineta. I oto ów cywilny minister wojny, mający zaćmić swoją wiedzą i talentem wszystkich generałów, okazuje się partaczem cudzego rzemiosła.

Za dużo amerykańscy posiadacze srebra mają... złota, ażeby zamach prezydenta Clevelanda na bill Shermana (o zakupywaniu pewnej ilości srebra przez państwa) mógł nie znaleźć walecznych obrońców w senacie Stanów Zjednoczonych.

Wojna domowa w Brazylii nie zakończyła się jeszcze żadnem stanowczem zwycięztwem, chociaż rokoszanie, ostrzeliwający Rio-de-Janeiro utrzymują przewagę a broniący się w stolicy gen. Peixoto stracił wszelką nadzieję. Jego załoga przy tem dopuszcza się mordów i grabieży w okolicy, powiększając pragnienie większości narodu, ażeby powstańcy co prędzej odnieśli tryumf.

Zmowa robotników w kopalniach angielskich kończy się, a górnicy powracają do pracy. Brak węgla wszakże jest tak wielki, że fabryki nie przestają zawieszać swych czynności.

BADANIA NAUKOWE.

WYPRAWA J. DYBOWSKIEGO W GŁĄB AFRYKI.

J. Dybowski, *La route du Tchad.* Paryż 1894.

Z początkiem roku 1891 niepokojące wieść zaczęły dochodzić do Francyi z Afryki. Wysłana w roku poprzednim wyprawa Pawła Crampela, ważna ze względów strategicznych i naukowych, spotkała w drodze wielkie przeszkody. W braku posługaczy posuwała się powoli, z trudnością zdobywała żywność i wciąż musiała mieć się na baczności, bo stanowisko krajowców było często niejasne, lub wręcz wrogie. Uległa w tym samym roku muzułmanom z Dar Runa; Crampel cięty podstępnie siekierą w głowę, zginął i tylko niewielka część jego ludzi uratowała się.

Nastąpiło to w maju, a już w lutym rząd i „Komitet Afryki francuskiej“, niespokojni o przedsięwzięcie, zorganizowali nową wyprawę. Miała ona podążać tą samą drogą, co Crampel, kroczyć śpiesznie i jak najprędzej połączyć się z kolumną przodową. Na czele postawiono Jana Dybowskiego, znanego z dwu wypraw saharskich.

MATIOLA.

(Idylla letnia).

Tak, pani jesteś niewzruszona i zimna, lecz urok twych wdzięków...

— Wolałabym dalszego ciągu nie słyszeć, nie bawi mię to...

— Czy kochasz pani przyrodę? Przysłuchaj się namiętnym trelom, spływającym ku nam z gęstwiny: to słowik żali się na cierpienia swoje. Czy widzisz pani, jak pięknie lśni tarcza księżyca w ciemnej koronie wysokiego klonu? A ten obłoczek biały czyż nie podobny do amora i nie jest tak przezroczy i lekki, jak ażurowy koszyczek pani?

— Słowem, chcesz pan dowieść, że noc dzisiejsza jest uroczo-piękna? Ach, mój Boże! Ja również widzę i klon, i księżyc, i obłok, który zresztą wcale niepodobny do amora...

— W takim razie do łabędzia...

— Jam nie Hamlet, a pan, spodziewam się, nie Poloniusz, więc lepiej nie powtarzajmy mądrych rzeczy, gdyż one mogą się wydać...

— Niemądremi — chcesz pani powiedzieć? Lecz czemże rozproszę twe znudzenie?..

— Proszę mi opowiedzieć coś... no, chociażby wznioślejszego.

— Niestety, wymagasz pani rzeczy niemożliwej. Wzniosłość? Jest ona tylko w krainie miłości romantycznej i w sferze ideałów; lecz gdy w sercach zimnych panują pustki, gdy wszelkie ideały zawierają się w maluczkich żądzach maluczkiej egzystencyi.

— Ani słowa więcej o ideałach! Mów pan o wszystkiem: o jedwabnych pończoszkach, o koniach, o szlemie bez atu, lecz, na Boga, jak najmniej tych rozumowań, tych zasad, poglądów, wniosków, teoryj — nie znoszę tego...

— Ożywiłaś pani w mojej pamięci piękną Łucyę. Ona także nie chciała nic wiedzieć o ideałach i nie potrzebowała zasad, bo młoda była i bogata.

— Lecz zapewne wolała rozrywki i towarzystwo wesołej młodzieży? Mądra.

— Zgadzam się i jeśli mi pani pozwolisz, opowiem jej o pewnym... błędzie, *un faux pas*— jak mówiono Łucyi.

— Czy to nie będzie zbyt długie?

— O, nie, historya krótka, jak... chwilki szczęścia...

— Słucham.

— Pani sama znalazłaś dzisiejszą noc uroczo-piękną? W taką piękną noc Łucya spacerowała z baronem Szpic w gęstych, zaniedbanych alejach wiejskiego ogrodu. Baron prawił jej o rozmaitych przyjemnych rzeczach, lecz ona go nie słuchała, gdyż powietrze było przesiąknięte aromatem kwiatów, a śpiew słowiczy rozbrzmiewał jakąś szczególną tkliwością i tęsknotą.

— Jakie to kwiaty tak pachną? — zapytała nareszcie Łucya, odurzona jakimś dziwnym zapachem. Chociaż szlachetny baron cierpiał na chroniczną nieobecność powonienia, jednakże począł odważnie wąchać powietrze i śmiało zadecydował, że to pachną róże.

— Ależ pan się wcale nie znasz na kwiatach — rozgniewała się niespodzianie Łucya.

— Niech pan natychmiast odejdzie! — dodała rozkazująco.

— Ależ... Łucyo!..

— Odejdź że pan! Ja pana nie chcę widzieć, jesteś mi wcale, wcale niepotrzebny!

Baron Szpic kochał Łucyę tak potężnie, jak tylko baronowie zdolni są kochać i chociaż nazywał ją piękną egzotyczną roślinką, jednakże wiedział dobrze, że była śmiała, uparta, samowolna i że sprzeciwianie się jej byłoby co najmniej bezowocnem. Lecz aby nie ubliżyć godności swojej, raz jeszcze udał, że wącha powietrze i powiedziawszy, zresztą niezbyt głośno, że „i róże pachną,“ odszedł obrażony.

Piękna Łucya zaśmiała się wesoło, zrobiła za baronem minkę kokieteryjną i ostrożnie, bez pośpiechu, podążyła aleją coraz się zwężającą i gęstszą. Uczuła strach. Wykrzywiony konar jakiegoś drzewa, strugą księżycowego światła zalany, ożywił w jej wesolutkiej główce jakieś wyobrażenie mistyczne. Gotowa już była krzyknąć, zawołać chociażby barona Szpic, gdy nagle... nowa fala powietrza, nasyconego tym dziwnym, zagadkowym aromatem, ogarnęła ją całą, a chwilowy przestrach

Z poleceń swoich wywiązał się Dybowski bardzo zaszczytnie, obecnie zaś złożył publiczne sprawozdanie w książce, wydanej po francusku p. t. „Wyprawa do Czadu.“

Szybko zdecydowawszy się na wyjazd, wypłynął w marcu 1891 r. z Hawru. Trzynastego kwietnia przybył do Loango. Tu na zachodniem wybrzeżu Afryki, najàwszy kilkudziesięciu tubylców do noszenia ciężarów, ruszył po kilku dniach pobytu na wschód.

Podążał najpierw przez równiny bezbrzeżne i monotonne. Trawy chwiały się na nich wysoko, roje małych szmaragdowych sikorek siadały co chwila na źdźbłach. Były tak lekkie, że ledwie je uginały. Czasami zarysowywał się wzgórek albo widniał nieduży, obwieszony owocami krzew anony.

Potem teren zaczął falować. Podnłosły się wzgórza, otworzyły doliny pełne zieleni. Na ciemnem tle lasów błyskały jasno czerwone plamy: grunt osuwający się ze stoków. Dnami dolin mknęły strumienie, nad nimi niby lasy trzcin uwieńczonych wachlarzami strzelały w górę na kilkadziesiąt metrów kępy palm oliwnych.

Watażkowie osad, przez które przechodzili, przyjmowali ich gościnnie. Jeden z nich dał naczelnikowi w opiekę syna czternastoletniego. „Niech idzie przyjrzeć się światu“ — mówił. Posługacze i dodani do eskorty, na ochotnika zrekrutowani strzelcy senegalscy postępowali wesoło. Słońce paliło, więc ilekroć trafiali na rzeczkę, mimo spocenia składali ładunki i skakali do wody.

Po kilku dniach kolumna wkroczyła w ogromny las Majombe, długi na niemal sto kilometrów. Promienie słońca prawie nie spadały do wnętrza. Gałęzie spinały się w nieprzebity dach, chłód przewiewał pod niemi. Roślinność była bogata, korzenie drzew dzięki stałej wilgoci powietrznej pełzały po ziemi niby węże. Dniem panowała cisza, nocą dopiero opadały z hałasem na gałęzie szare papugi i wyły w oddalach małpy. Polany zamieszkane, lecz dróg nie spotykało się, raz nawet potrzeba było ciągnąć korytem rzeki.

Skończył się nareszcie las — i oto szumi ocean traw. Wysokie na trzy do czterech metrów pochłaniają karawanę. Przechodzi, przebiła się, już fale zwarte i ani śladu z przebycia. Nad głowami stada różnobarwnego ptactwa, z drogi skaczą w bok zwierzęta: bawoły lub antylopy pasą się w stepach.

Tak dotarł pochód do Ludimy. Tu znajduje się stacya francuzów. Dwaj europejczycy powitali radośnie przybyłych, tabor rozłożył się. Loangowie wypoczywają. Senegalczycy strzelają do tarczy, Dybowski i towarzysze prostują zmęczone członki. Goszczą ich półmiskiem kartofli, nieuprawianych nigdzie w Afryce. Lecz w kilka dni potem do Comby dochodzi wieść, że Fourneau, wysłany na brzegi Sangi, jednego z dopływów Konga, został napadnięty, że jeden biały i znaczna ilość loangów legła w potyczce, a wyprawa cofa się...

Stąd idą ciężkie chwile wyprawy Dybowskiego.

Nocą umknęła część loangów, strzelcy senegalscy nie schwytali ich. Dybowski dobił się do klucza kolonij francuskich w środkowej Afryce: Brazzaville. Lecz ubytek z trudnością mógł dopełnić. Nadszedł czternasty lipca, postanowiono obchodzić rocznicę zburzenia Bastyli, sproszono z okolic tubylców. W tem biskup brazzovilski przywozi wiadomość: misya Crampela została wycięta w pień, Biscarrat, który podążał za nim, również nie żyje i tylko naczelnik tylnego oddziału Nebout wraca. Nazajutrz przybywa Nebout: wiadomości potwierdza.

Więc niebo zasępiło się na burzę i nie trudno było zadrżeć. Dybowski miał zastęp nieliczny, loangowie uciekli co do jednego, najemników do niesienia nie sposób znaleść. A ludności dalszej od posterunku należało imponować liczbą...

Cóż jednak pozostawało uczynić? Wyprawa była wysłana, należało jej nie przerywać. Crampel prowadził zapiski, może je uratuje się dla wiedzy, w drodze potrzeba założyć kilka posterunków, ognisk wpływu Francyi, nareszcie kto wie, czy nie da się dopędzić muzułmanów, nie zaskoczyć ich niespodzianie i pomścić zabitych?..

Nazajutrz naczelnik, wezwawszy towarzyszów francuzów, oświadczył, że są wolni. Mogą wrócić, jeśli chcą, bo właściwie już wszystko skończone... On sam pójdzie dalej, chce wytrwać na stanowisku.

Francuzi okazali się równie dzielnymi i dziewiętnastego sierpnia naczelnik z trzydziestu ludźmi wyjechał z Brazzaville. Poprzednio wysłał Nebouta i Brunache'a z dwoma oddziałami. Po półtoramiesięcznej żegludze rzeką Kongo, potem dopływem jej Ubangiem, po zbadaniu w drodze ujścia Sangi, stanął czwartego października w Bangi.

Stąd Nebout wyruszył śledzić bieg rzeki M'Poku, Brunache Ombelli i Kemo. Za ich powrotem popłynięto dalej.

Przecięto ziemie banzirów, uaddów, languasów. Po raz pierwszy stanął w nich prócz Crampela europejczyk. Tubylcy, zwłaszcza banzirowie zachowywali się względem wyprawy życzliwie. Wzamian za perły z masy, materyi i próżne butelki wynosili maniok, kury, kozy, kość słoniową. Wodzowie zaglądali do obozu europejskiego, niektórzy wchodząc w pobratymstwo. Od osady Bembe ruszono pieszo i po kilku dniach marszu dowiedziano się, że w pobliżu są mahometanie, prawdopodobnie ci sami, co zamordowali Crampela.

Byli to istotnie mordercy, turgowie, szczep rozbójniczy, osiadły w ziemi Dar Runa, podległej Wadajowi. Dybowski już wtedy zapadł na febrę. Lecz dowiedziawszy się o bliskości nieprzyjaciela, gwałtownymi pochodami pospieszył w pogoń. Tubylcy, wystraszeni przez turgów, wstrząśnięci niedawną klęską, wstrzymywali białych. On kroczył dalej i nocą 23 października starł się.

Turgowie nie spodziewali się tak prędko europejczyków, choć wiedzieli o ich zbliżaniu się. O wschodzie księżyca mieli ruszyć. Dybowski, nie tracąc chwili, uderzył. Strzelano — potem na bagnety. I nagle napadnięty obóz wyginął niemal doszczętnie. Śmierć Crampela pomszczona.

Podróżnik posunął się jeszcze o sto kilkanaście kilometrów na północ, dotarł do rzeki Szari, wpadającej do Czadu, ale głód zmusił go do cofnięcia się. Wkroczył bowiem w ziemie niemal puste, pustoszone rokrocznie przez turgów, a jak zapewniali tubylcy, na znaczną jeszcze przestrzeń rozciągały się podobne obszary.

---

rozpłynął się i zginął w bardziej silnem uczuciu jakiegoś przyjemnego ciepła i nieokreślonej radości życia.

Było coś ostrego, odurzającego i namiętnego w tym dziwnym aromacie: rozmarzenie, pieszczota, czar pociągający. Po kilku chwiejnych krokach Łucya machinalnie oparła się o drzewo, z trwogą i zadziwieniem niby przysłuchując się nowym i nieznanym wrażeniom, które rozwijały się i wzrastały w jej organizmie równo i stopniowo, jak uderzenia pulsu. Pragnęła pochwycić i z rozkoszą przytulić do swej piersi wezbranej otaczające ją wonne powietrze, rzucić coś kruchego z dźwiękiem i hałasem lub z głośnym śmiechem potargać baronowi Szpic jego przyzwoitą fryzurę. A dusza jej bojaźliwa leciała kędyś... daleko, niby witając zapomniane i znowu przywołane uczucie miłe.

Tak stała Łucya marząc i oczekując... Wtem mimowoli wyciągnęła ręce ku górze, oczy jej łzawe zmrużyły się w słodkiej zadumie, a z ust pocałunku spragnionych wyleciał okrzyk radości, upojenia, wesela.

Gdy rozwarła oczy, przy niej stał... on: rzecz obojętna, kto? — piękny mężczyzna, rywal barona Szpic, może szatan uwodziciel, który jeszcze w mieście, malując przed nią namiętnemi słowy obszerne widnokręgi pracy, działania, poezyi i myśli, usiłował wydostać ją z ciasnego kółka bogactwa, bezczynności i niedołęztwa umysłowego. Lecz tam w zjadliwej atmosferze balów, rozkosznych obiadów, przepychu i zepsucia wolała dobrze wychowanego i ograniczonego barona; wtedy między nią a nim, tym nieznanym młodzieńcem, wznosiła się nieprzebyta ściana na fundamencie różnicy stanowiska społecznego, poglądów, wyobrażeń i przesądów oparta; teraz, tu, na skraju zapuszczonego wiejskiego ogrodu dzieliła ich tylko wązka grządka drobnych liliowych kwiatków. I właśnie te kwiaty wydawały ów szczególny cudowny aromat dla powonienia barona niedostępny, ale pewnie znany i miły dla tego śmiałego człowieka, który dopiero tak niedelikatnie przerwał jej samotność.

— Byłem pewny, że cię tu znajdę, pani, i przyszedłem, aby powiedzieć, że cię kocham gorąco i stale — rzekł drżącym głosem.

Łucya nie przerwała mu zimnym, wzgardliwym uśmiechem, bynajmniej, lecz z jakiemś radosnem i wstydliwem zmieszaniem, nie patrząc nań, niby go nie słysząc, zaczęła prędko:

— Jakiż dziwny zapach wydają te kwiaty, nieprawdaż? Jaki niezwykły zapach! Ach, jakże się one nazywają?..

— Matiola — rzekł miękko i czule, niby do małego dziecka. Są to nocne kwiaty; we dnie, gdy wszystko porusza się i żyje, one przymrużywszy swe wonne listki, skromnie się ukrywają między pyszne róże i lilie, lecz gdy noc nadejdzie, gdy sen ogarnie siły robocze dnia, one śmiało podnoszą swe główki, budząc senną krainę swym cudownym zapachem. One ciebie także przebudziły i przywiodły cię tu, ukochana!

Z temi słowy przekroczył grządkę i niegrzeczny, nie przeprosiwszy nawet, śmiało pochwycił lubą dziewicę w swoje silne objęcia:

— Więc ze mną w krainę ideałów, myśli, walki!.. — szeptał porywczo i namiętnie.

I wydało się pięknej panience, że ideały i myśli wcale nie są tak wstrętne, a i walka przyjemna... O, ona już pragnie tej walki i naprzód z nim, z tym drogim nieznośnym człowiekiem, który jakiemś dziwnem prawem osypuje ją pocałunkami, niemiłosiernie depcząc biedne małe kwiateczki. Ażeby wyratować, ażeby obronić kwiaty, ona przyklękła, schyliła się nad grządką i całą zgrabną figurką swoją przykryła wonne matiola...

Kwiaty ożyły, poruszyły się — i szemrząc, przywołując, śpiewając, dzwoniąc, wyciągnęły ku niej swe główki pachnące... Księżyc oślepiająco zajrzał jej w oczy, tysiąca słowików trele rozlegały się w powietrzu... Nic, to nie słowiki śpiewały: to czysta, dziewicza namiętność ozwała się tysiącem melodyj, to królestwo myśli oznajmiło swoje zwycięztwo wielką tajemnicą miłości...

— Pani drżysz cała, jesteś wzruszona...

— Duszno mi tu: ten ostry, przenikliwy zapach...

— To jest matiola...

— No, chodźmy tam, chodźmy! Ach, ja tak pragnę zobaczyć tych małych figlarzy.

Henryk K.

Chcąc w Bange odpocząć, a potem znowu ruszyć do Szari i jeziora Czad, podążył Dybowski ku założonej przez siebie stacyi Uadda, stamtąd posunął się w górę rzeką Kemo, założył przy szóstym stopniu północnej szerokości stacyę Kemo, zawarł umowę ze szczepami tokbów i sobangów i wrócił do Bangi. Dowiedział się, że wysyłają mu z posiłkami Maistre'a. Oczekiwał go. Lecz gdy Maistre przybył, nie mógł już podjąć dalszej wyprawy. Leżał w gorączce niemal konający na żółtą febrę.

Lekarz kazał mu natychmiast wracać do Francyi; ze łzami w oczach oddawszy dowództwo Maistre'owi, przybył 15 lipca 1892 r. do Marsylii.

Takie są dzieje jednej z ostatnich wypraw, częściowo przynajmniej podjętych w interesie nauki. Okoliczności nadały pochodowi Dybowskiego charakter kampanii. Punkt jej kulminacyjny potyczka pod Jabandą. Lecz i dla wiedzy przyniosła ona wiele. Utorowała drogę Maistre'owi, zapewniła na długi czas bezpieczeństwo podróżnikom środkowo-afrykańskim. Geograficznie zbadała znaczną przestrzeń dorzecza Konga, „odkryła" ludy uadda, ndri, dakoa, m'bri. tokbo, n'gapu. W ciągu całej podróży Dybowski robił zbiory zoologiczne i botaniczne, w drodze wymiany zebrał piękną kolekcyę broni, wystawioną obecnie w muzeum etnograficznem Trocadero. Dzieło jego zawiera liczne dane z etnologii i geografii zoologicznej, nadto mapę zbadanych obszarów i tablice obserwacyj barometrycznych i termometrycznych. Jeśli zważy się, że na barkach autora „Wyprawy do Czadu" ciążyła odpowiedzialność za powodzenie wyprawy, że był zarazem wodzem jej i uczonym, że w drodze z tylu walczył przeszkodami i połowę wyprawy odbył ciężko chory, trudno nie przyznać mu ogromnej energii i prawdziwego poświęcenia.

Przedstawia się on ogółowi jako strategik. Przezorny i bystry w stosunku do tubylców, umie ich zjednać, swoich ludzi zachęca i podtrzymuje własnym przykładem. Złożony niemocą idzie pieszo, aby ich nie zniechęcić. Gdy nie ma już sił, zatrzymuje się na kilka godzin, pokrzepia i dalej. Przybywa pod Jabandę znużony i wycieńczony, żołnierze to samo. Zamyśla napaść jutro. Tymczasem donoszą, że muzułmanie chcą za godzinę uciec. Więc przypuszcza szturm w tej chwili. Ażeby zaś strzelców mniej było widać w ciemności, każe im przed atakiem wdziać ciemne ubrania. Nawet w drobnostkach okazuje się wodzem.

Wyjaśnić to należy zapewne dziedzicznością. Książka zaś jego lekko i barwnie pisana, pod względem stylu i układu oddaje wyraźnie charakter wyprawy. Jej autor, jak w pochodzie po pokonaniu jednej przeszkody nie ogląda się za nią, ale szuka nowej, tak przy pisaniu dzieła rzuca gwałtownie obok siebie, nie kładzie pojedynczo części rozdziału. Pisze, że zachorował mu w drodze towarzysz Bigrel, odsyła go do Europy. Czy wyzdrowiał, czy nie, nie dodaje. Czytelnik chciałby wiedzieć, lecz cóż: odesłany już nie należy do wyprawy, a więc i do jej dziejów. Pod Jabandą pochwytują senegalczycy jeńca, ponieważ brał udział w morderstwie, spotyka go rozstrzelanie. Protokół z nim opisany, od chwili wydania wyroku nic nie wiemy. Już to sprawa skończona. Autor opisuje lud tokbów, wprowadza nas na ich naradę. W ciągu narady europejczycy i on przejeżdżają na drugi brzeg rzeki. Tokbowie w tej chwili giną z oczu. Powracają dopiero, gdy zbliżyli się powtórnie do zakładających stacyę.

Cecha ta nadaje dziełu Dybowskiego wiele oryginalności. Czyta się je z prawdziwem zajęciem, odczuwa niezaprzeczone zdolności pisarskie. A czasami z krótkiego urwanego zdania, ze zmieniającego nagle front ustępu, zda ci się, że błyska szabla oficera komenderującego: do ataku!

W. Bugiel.

LITERATURA I SZTUKA.

MALARSTWO.

Obrazy Wilhelma Kotarbińskiego.

W sztuce tak samo jak w życiu, istnieją dorobkiewicze i prawdziwi panowie. Pierwsi za grube pieniądze wypychają swoje salony dziełami pędzla i dłuta, cennemi tkaninami i kwiatami, które wielkim chórem wołają do obcego widza, że tu nie dla nich miejsce i że się nie mogą zestroić z gminną duszą, która śród nich panuje. U drugich przedmioty artystyczne mogą być i jaskrawe, i bogate, i nader liczne, a przytem nie biją w oczy każdy z osobna i nie rażą brakiem harmonii wewnętrznej z otoczeniem i tłem, lecz robią wrażenie, jak gdyby się tu same przez się znalazły, tu wyrosły i tu miały zniszczeć. W malarstwie, a głównie jego rodzaju historyczno-legendowym zdarza się najczęściej, że złoto i purpura, drogie kamienie i szaty, marmury i alabastry masą swoją przygniatają całe płótno, dławią jego żywe postacie i usuwają treść samą na ostatni plan, jako główny cel malarza, jako wystawa sklepowa dla lubiącego błyskotki tłumu. Być może, iż niéraz wchodzi tam w grę całkiem bezinteresowna namiętność zbieracza i archeologa, jak u Alma Tademy, albo czysto renesansowe zamiłowanie przepychu, jak u Matejki lub Hansa Makarta, który również nie zawsze daje sobie z nim radę, ale to pewna, że we wszystkich podobnych wypadkach sztafaż tworzy odrębny żywioł, nie sprzęgający się z wątkiem w jedną, jednolitą całość. Nieraz stojąc przed takim wielkim stosem jubilerszczyzny i ciężkich a drogich materyj, wzdychamy potajemnie do malarza, któryby potrafił oprzeć się pokusie nadmiernego blasku a przecież umiał nim należycie opromienić rozgrywającą się scenę. Żądza wielkiej okazałości na wzór dajmy na to Pawła z Verony lub misternej dłubaniny na podobieństwo Mierisa i Netschera, zabija ducha.

Oczywiście muszą istnieć tacy, co posiadają ową miarę, ów nieuchwytny dobry smak, który strzeże od przeładowań i pustej zewnętrzności. Gdy powiemy, że śród naszych malarzów Wilhelm Kotarbiński wybitnie się do tego typu zbliża, określimy bodaj odrazu wartość i znaczenie zarówno jego utworów mniejszych, jak i świeżo wystawionej „Orgii rzymskiej" — wielkich rozmiarów. Swego czasu wspominaliśmy już o „Zabawach w starożytnym Rzymie," które tę prawdziwą, arystokratyczną wytworność w wysokim stopniu ujawniły. Dziś odnajdujemy je znowu w motywie weneckim, który oglądać można w salonie Krywulta. Nieszczęśliwsza może w malarstwie, niż w dziejach, królowa Adryi, krocie razy pospolitowana przez artystów, patrzących oczami Baedekera, prawie zawsze przefarbowana i mdła, a rzadko kiedy wyzyskiwana bywa po męzku i bez przesady. Nie jest też niczem nadzwyczajnem to, co z niej wykroił Kotarbiński, bo tylko płótnem na codzień od wielkich pretensyj dalekiem, ale się w niem i rzeczywista poezya i styl i charakter znalazły. Na planach dalszych ukazujące się miasto jest szarą, zwartą masą domów, pałaców i wieżyc i tak się ono w istocie przedstawia każdemu, kto się doń zbliża z jednej z wysp okolicznych. Przodem zaś płynie gondola, zajmując całą niemal długość obrazu, nie skrócona bynajmniej zwykłą modą dla większej zręczności, ale tak niedyskretna i natarczywa, jak bywa w rzeczy samej. I morze nie jest przefarbowane wedle tak częstego między malarzami gustu młodych żonkosiów, przybywających na laguny dla spędzenia tam syropowych miesięcy, ale ma prawdziwy, stalowy kolor i rozległość. Tylko na postać mężczyzny zgodzić się nie można, bo jest wiotką, cienką i opiętą aż do śmieszności. Osoby siedzące w samej gondoli, są tylko zlekka naznaczone, lecz mimo to pełne stylu, przypominają towarzystwa z epoki dożów, wyjęte jak gdyby z *Otella* lub *Marino Faliera.* Świadczą też one, że artysta obraca się między dawnemi strojami i zwyczajami, jak u siebie w domu i silnie daje się pociągać ich barwnej malowniczości.

Drugie nieduże, również w salonie Krywulta wystawione płótno, jest już tylko zwyczajnym kiczem malarskim, narzuconym od ręki. Czy ta niewiasta, niedbale usadowiona i półobnażona, bawi siedzącego obok starego rzymianina jakiem lubieżnem słówkiem, czy kpi z jego zapijaczonego nosa i śladów bachusowej uczty — trudno rozstrzygnąć. To pewna, że i każde inne rozwiązanie tej szarady mogłoby być słusznem. Trochę gipsowych marmurów i rzymskiego rupiecia nie podnosi bynajmniej wartości obrazu, kto wie, czy nie będącego niedbałym waryantem z wielkiej „Orgii rzymskiej," do której przechodzimy.

Podłóżmy pod pojęcie dobrego, prawdziwie wykwintnego smaku, co może być najlepszego, a znajdziemy je przed tym niezrównanym koncertem barw i kształtów. Wyobraźmy sobie symfonię Mendelsohna, wcieloną w malowane frazesy, delikatne, liryczne i barwne, a otrzymamy obraz Kotarbińskiego. Jak wielkiem jest płótno, tak piękną ogólna jego plama. Nie składają się na nią kłujące wzrok jaskrawości, doprowadzone do siły żaru, ani oślepiające szkarłaty, szmaragdy i fiolety, ale z niezwykłym gustem porozkładane i niby surdynkami poprzytłumiane farby łagodne, miękie, a mimo to nieposzlakowanie, czyste. Te niewiasty umieją nosić swoje miękie, fałdziste szaty i pyszne zwoje włosów i złote ozdoby i nie paradują niemi, jak służące, które się pod nieobecność pani ubrały w jej suknie. Mistrzowsko malowane kwiaty, róże, zdobiące skronie, bukiety w wazonach, to nie garnirunek dorażny ogrodnika, ale w miarę obfita rozkosz i upiększenie, której tu wprawdzie pozwalają wpadać w wodę w zamęcie uciechy, ale w której nikt brodzić po pas by nie mógł. I tak samo pięknym jest cały obraz w linii, w konturach. Są one okrągłe i harmonijne czy jako postawy, czy jako ruchy i żadna z grup, na które się rozpada uczta, nie wyrywa się brutalniej naprzód i nie odskakuje gwałtowniej, trywialniej od reszty tła. Nawet kobiety, które wirują w tańcu, wziąwszy się za ręce, nawet starzy wyjadacze po prawej stronie, z których jeden łakomie sięga po czarę wina, nawet piękne grono mężczyzn i kobiet, których łódź przybija do marmurowego podjazdu komnaty i którzy witają, zda się, zebranych okrzykiem *euhoe Bacche!* — nie górują nad gładzitką powierzchnią i niczem szorstkiem ani chropowatem nie psują dziwnej rytmiczności rysunku.

Rzecz prosta, iż na taką piękną melodyę barw rozłożona bachanalia zawierać będzie bezdeń omdlewającej miłości, a te gibkie postacie odegrają dramat, który tak był hulaszczy i dziki, że aż zmęczony i odurzony wpadł w ciszę tłumionych pocałunków i niemych uścisków pieszczoty.

Tak by się zdawało wyobraźni, najkorzystniej w świecie uprzedzonej pierwszem przelotnem wrażeniem oka. Ale

w swojem łaknieniu sensacyi żywszej i głębszej namiętności zostaje ona niezaspokojoną i darmo błądzi po całem płótnie. Tu nie znajdziesz nigdzie ani szalonego porywu instynktów wzburzonych winem i girlandą czarownych nagości i tego, co tak kusząco opisuje Kraszewski w *Caprei i Romie* lub Hamerling w *Ahasverusie*, — ani owej chwili pół-sennego wyczerpania, kiedy nad ciałami unosi się woń kadzideł i opar gorących oddechów otula wszystko wymownym pół-cieniem. Do jednego z tych dwóch typów musi należeć wszelka orgia, jeśli ma nas pociągać i przerażać, ale do żadnego z nich nie należy ten w patrycyuszowskim domu mieszczański bal, który namalował p. Wilhelm Kotarbiński. Pląsy kobiet są u niego zamglonym, cichym korowodem cieniów, pijatyka jest odległą gawędą sybaryckich staruszków, omdlenie lubieżne jałowem lenistwem niewiast, z których większość w dodatku nie wie, co z sobą robić i jaką rolę odegrać w tej rozległej farsie. Natłok ludzi siedzących, stojących, niby słaniających się, a nie partych silniejszą sprężyną — oto co zaszczycone zostało wytwornem dotknięciem smakowitego, jak mało który, pędzla. I ostatecznie lwią cząstkę uwagi widza, zniechęconego próżnem szukaniem życia w obrazie, przypada w udziale dwom cudnie białym i mistrzowsko namalowanym łabędziom u marmurowego brzegu i równie pięknej, miedzią krytej łodzi z gronem przybywających biesiadników.

Niekiedy trafi się artyście jakaś śliczna główka, jak owego dziewczęcia z pomiędzy trzech postaci stojących nad wodą, ale on nie umie jej jak i innym nadać wyrazu i wcielić do ogólnej instrumentacyi osnowy. Bo te wszystkie twarze są tu jeno odbiciami jednego zmanierowanego profilu o zaokrąglonym nosku, zarówno kobiece i męzkie i nie tylko że nie zdradzają posłuszeństwa wichrowemu żywiołowi orgii, ale nie cechują się nawet indywidualnemi różnicami rysów. Są malarze, którym wychowanie w pewnej akademii albo w mieście klasycznem wraziło w pamięć jeden szablon głowy lub jeden stereotypowy sentyment oczów tak trwale i głęboko, że go się pozbyć nigdy nie są w stanie, że z nim wyjeżdżają przy każdej sposobności i że raczej gwoli niemu układają obrazy o pozornie odmiennej treści i intencyi. Nie wiemy, gdzie p. Wilhelm K. odbierał swe zawodowe wykształcenie, ale to pewne, że chorobliwie jest przywiązany do swych okrągłych nosów i oczów, w których jest dużo bezmyślności na odrobinę elegii.

Mówi się często, że malarz powinien mieć temperament. W odniesieniu do wielu rodzajów malarstwa, wymagających powściągliwości i miary, jest to frazes prawie niedorzeczny, ale gdy chodzi o sceny zbiorowe na większą skalę a zwłaszcza takie, co mają wypromieniowywać z siebie większy nawał uczucia i wogóle większą sumę życia psychicznego, brak temperamentu staje się jednoznacznym z martwotą. Do „Orgii rzymskiej" stosuje się to najzupełniej. Nie jest ona chybionym strzałem, bo w niej nie było wcale naboju, ale kunsztownym koncertem barw i kształtów. Stworzył ją artysta, niepospolicie odczuwający snadź piękno, że tak powiem, kameralne, ale na jego głowę ktoś widać sypie wciąż ziarnka maku. Wielkie płótno jego — to ładna śpiąca królewna, która jednak nigdy się nie przebudzi...

Cezary Jelenta.

TEATR.

Otello Verdiego.

Reklamowany od lat sześciu przez pisma nasze dramat muzyczny Verdiego, *Otello*, na tle tragedyi Shakespearowskiej osnuty, ukazał się nareszcie w zeszłym tygodniu na deskach Teatru Wielkiego. Jeden z krytyków, pisząc o nim, ubolewa nad sędziwym wiekiem kompozytora, ograniczającym pole jego pomysłowości i skrywającym przed nim perły mistrzowskich melodyj, jakie niegdyś z taką łatwością sypał twórca *Trubadura*, *Balu maskowego* i *Aidy*; inni przeciwnie zaliczają *Otella* do pierwszorzędnych, nieporównanych arcydzieł muzycznych.

Do pewnego stopnia przyznać należy słuszność i pierwszemu i drugiemu. Verdi w ustępach lirycznych nie umie już wznieść się na wyżyny takiego natchnienia, jakie bije z duetów Radamesa i Aidy, Alfreda z *Violetty*, z aryi Gildy i *Rigoletta*; słodka Desdemona w pierwszych trzech aktach nie umie zdobyć się ani na jedną nutę łagodnej, czułej pieszczoty; duet jej z Otellem po burzy na tarasie nadmorskim to raczej okrzyk zwycięzkiej miłości bohaterki dla bohatera, aniżeli wyznanie tkliwej gołębicy, która tylko tulić się, płakać i prosić umie w pokorze.

Nie o cichą miłość Desdemony chodzi tu jednak głównie: wątkiem opery Verdiego jest uplastycznienie w muzyce szału zazdrości i pod tym względem mistrz tonów osiągnął cel swój całkowicie. Począwszy od aktu drugiego, każde pojawienie się na scenie Otella, każda jego arya, którą poprzedza lub której towarzyszy grobowy akompaniament kontrabasów i wiolonczeli, zwiastuje ponurą tragedyę, jaka toczy się w sercu murzyna. To nie uniesienie, nie zachwyt, nie namiętne porywy miłości, to gorycz jej cierpienia, piołunowy jad zwątpień, które stopniowo przechodzą w orkan rozpaczy. Słyszymy tu co chwila to ciche łzy stłumione olbrzyma, któremu ból rozsadza piersi, to pełną grozy rozterkę uczuć, popychających go do zbrodni. Pierwsze dźwięki orkiestry, nieuprzedzającej, jak zwykle, uwerturą podniesienia kurtyny, lecz akcentującej odrazu siłą pomieszanych, potężnie sharmonizowanych frazesów muzycznych burzą morską, która szaleje na scenie — pierwsze te dźwięki już zwiastują tragizm opery, w którym utrzymuje się ona do końca samego.

Gdyby Verdi w duecie miłosnym Desdemony i Otella w akcie pierwszym był wzniósł się na wyżyny prawdziwego liryzmu, gdyby większą grozą, potęgą i siłą był natchnął finał aktu trzeciego, zawierający wprawdzie niezmierzone bogactwo modulacyi i pomysłów, lecz zbyt rozwlekle i nieodpowiednio do wymagań akcyi scenicznej przeprowadzony, byłby niewątpliwie stworzył arcydzieło równe *Aidzie*. Krytycy słusznie podnoszą mistrzowstwo kilku, oddzielnie wziętych ustępów muzycznych, jak burza, chóry przy ognisku oraz Brindisi w akcie pierwszym, serenada z akompaniamentem mandolin w drugim itp., są to perły muzyczne, na które nie zdobył się żaden z młodszych kompozytorów.

W tragicznym wątku muzyki *Otella* poznajemy tchnienie, które owiało namiętne, pełne grozy miłosnej utwory Mascagniego i Leoncavalla, odnajdujemy tu również kilka ustępów, przypominających *Mefista* Boity (autora libretta *Otella*), równą grozą, mniejszą wszakże potęgą i siłą zaakcentowanych.

Ostry, bezdźwięczny głos p. Drog, w wysokim falcecie jedynie nabierający miękości tonów fletowych, aż nadto uwydatnił wszystkie ujemne strony bohaterki Verdiego, w ostatnim akcie zaledwie przypominającej cichą, cierpiącą bez winy, szarpaną niepokojem złych przeczuć i skarżącą się bezradnie, jak dziecko, Desdemonę Shakespeare'a.

Wykonane bez zarzutu fletowym falcetem p. Drog Ave Maria i pieśń o wierzbie — ta ostatnia cokolwiek może nużąca jednostajnością swoją, podtrzymywana jednak w tonie przepięknym akompaniamentem orkiestry — pozostaną na zawsze w literaturze muzycznej jako perły wzniosłego natchnienia.

P. Durot — Otello — reklamowany, jak zwykle — jest śpiewakiem szablonowym, bardzo średniej miary, o głosie matowym, tremolującym w pierwszych zwłaszcza aktach, forsującym się niezmiernie w większych aryach dla zjednania sobie łask paradyzu.

Kunsztownie z zadania swego wywiązali się p. Chodakowski w ciężkiej roli Jagona, p. Dąbrowska w niewielkiej roli Emilii. Chóry śpiewały bez zarzutu, co nie zawsze o nich powiedzieć można. Orkiestra pokonaniem tysiąca trudności, tysiąca misternych a nagłych, niespodziewanych zwrotów, na całe szeregi różnorodnych instrumentów rozłożonych jednocześnie, przyniosła prawdziwy zaszczyt sprężystej a dzielnej batucie p. Trombiniego.

Selika.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 8 października.

Stosunki społeczno-pocztowe.—Pamiętnik Bismarka.

Pierwsza znajomość, jaką zawiera cudzoziemiec z pocztą niemiecką, sięga owych, zwykle dość wczesnych czasów, kiedy czytał łzawe skargi Ludwika Börnego na powolność karetki pocztowej. Dziś żale publicysty zastosowania już mieć nie mogą, gdyż obcokrajowiec zdumiony jest wygodami, jakie generalny poczmistrz niemiecki, dr. Stefan, ofiaruje publiczności — nie znaczy to jednak, ażeby już nic nie było do poprawy. Śmiało można twierdzić, przeglądając „Stenograficzne sprawozdanie z obrad sejmu" z ostatnich kilku sesyj parlamentarnych, że wszystkie bez wyjątku partye i grupy, tak wrogo zazwyczaj względem siebie usposobione — w jednej z niewielu kwestyj zgodnie przypuszczają szturm do zmurszałych bastyonów stosunków społecznych, mianowicie w sprawie bezgranicznej nędzy urzędników pocztowych. Kilka prac świeżo wydanych*) pozwala wejrzeć głębiej do tej jaskini wyzysku, nie bronionego nawet przez najpierwszą ze sprężyn ekonomicznego ustroju współczesnego, przez wolną konkurencyę — wszak wiadomo, że państwo stoi po za konkurencyą.

Statystyka pocztowa za rok 1891 wykazuje ogółem 130 tysięcy urzędników; na ich położenie ekonomiczne rzuca barwne światło ten już fakt, że śród nich jest tylko 3 tysiące wyższych, 5 tys. t. zw. średnich, wreszcie 49 tys. niższych; pozostała liczba stanowi 73 tys. ludzi, którzy, jako nieetatowo uposażeni, mogą być uważani za najmitów. Ci ostatni wstępują zazwyczaj do służby jako młodzi chłopcy 16—18 letni, jako „pomocnicy," pobierający $1\frac{1}{2}$—$2\frac{1}{2}$ marek dziennie. Po czteroletniej pracy i złożeniu odpowiednich egzaminów awansują, pobierając już do 3 marek dziennie. Dopiero po czternastu latach podnosi się płaca urzędnicza do wysokości 2 tys. marek rocznie. Należy zauważyć, że w ostatniem dopiero stadyum (Ober-Assistent) urzędnik staje się etatowym, tj. takim, którego byle kaprys urzędnika wyższego nie może pozbawić miejsca i utrzymania. Przez lat natomiast czternaście biedny urzędnik stanowiskiem społecznem nie różni się

*) *Die alte Reichspost von einem alten Postillon* i *Die Sozialpolitik der Reichspostverwaltung* dr. Brauna.

w niczem od proletaryatu wielkomiejskiego. Praca jest znaczną: zważmy bowiem, że najmłodszy po 2—4 tygodniowej aplikacyi staje się już samodzielnym, faktycznym robotnikiem przy biurku, przy którem spędza 56—65 godzin tygodniowo, po części w nocy.

Stan najniższej warstwy, listonoszów, konduktorów pocztowych — jest jeszcze gorszy, ci bowiem pobierają zapłatę niższą od rynkowej płacy najmickiej. Dwie są drogi, któremi dąży biedny, wzgardzony przez los urzędnik pocztowy do poprawy swego bytu: po kilkakroć opowiadano w parlamencie o listonoszach, którzy w wolnej chwili oddają się zajęciom, nic z zawodem wspólnego niemającym, grają do tańca po szynkach stołecznych, są krawcami, szewcami itp. To jest droga iście groszowa; druga natomiast, wypróbowana już tylokrotnie droga zrzeszeń zawodowych trafiła tu do świadomości asystentów pocztowych, którzy w roku 1890 założyli „związek.“ Nie pomógł rzeczywiście protest władzy, która starała się rozbić kadry organizacyi przez przenoszenie członków do różnych miast. Związek istnieć nie przestał i przeciwnie, dzięki tej właśnie opozycyi, rozwija się coraz silniej. Ale i grupy parlamentarne nie zaśpią sprawy i na bieżący sezon zimowy przygotowują cały szereg niespodzianek dla dr. Stefana.

Pisma stołeczne obiegła wiadomość, jakoby pewnemu wydawcy niemieckiemu udało się nabyć „pamiętniki“ Bismarka za bajeczną sumę pół miliona marek. *Pamiętniki Bismarka!* Zestawić te dwa wyrazy, powiedzieć je głośno i spojrzeć tylko, jakie obrazy wywoła przed okiem duszy! Jakież barwy piekielne złożą się na nie, barwy łuny pożarnej, rzezi średniowiecznej. Nie przedrze się przez te grube pokłady krwi ani jeden cieplejszy promień wiosny, ani też oko nie zajdzie mgłą radosnego upojenia. Ile tylko spoczywało uśpionych żądz w słabem sercu człowieka współczesnego, on je obudził, powołał do życia i kazał w niem grać rolę naczelną: dawno, jeszcze za heleńskich czasów wyklęte harpie i erynie wydobył, niby nurek genialny, z samego dna wód letyjskich, przyoblekł w purpurę nowoczesnego panowania i narody zmusił do hołdu na rzecz ich, do haraczu, do hekatomby. Nad kołyską jego zbiegły się wszystkie potwory jaskiń czarowniczych, wyły hyeny, syczały gady — ale brakło głosu miłości, cichych powiewów wiosny, szemrania strumieni, śpiewu ptasząt, brakło hosanny natury. Gdy podrósł i potężną spiżową dłonią ujął, niby kleszczami, umysł i serce narodów europejskich—na nieszczęście ludzkości całej nie napotkał żadnego oporu. Cóż znaczy drobny korab ludzkich losów wobec potęgi trąby morskiej, wobec siły orkanu? Ucichło wszystko wokoło, a gdy nie słyszano wśród ryku tryumfu głosów potępienia, zwykłym biegiem słabej myśli człowieczej, widzącej w powodzeniu sprawdzian wartości, uwierzono w nowy kanon, niby w ewangelię. Tego tylko trzeba było! Upojony zwycięztwem chwili, wpił się w organizm myśli i uczuć niemieckich tak głęboko, że umiał wyprzeć z nich na długie i dalekie czasy tę przecudną przędzę marzeń złocistych, którą złożyli tam Goethe i Schiller, Herder i Fichte. Jemu mało było zwycięztw politycznych, mało było, że umiał tyrańskie swoje słowa wcielić w życie, „krwią i żelazem“ spoić rozsiane państwa i polityczne drobiny niemieckie: gdy nie było już ani Szlezwigu, ani Austryi, ani Francyi, rzucił się ku wewnętrznym stosunkom państwa i zaryczał: Ausrotten! Ledwie uporał się z „kulturkampfem,“ wynalazł prawa wyjątkowe — dla demokratów, dla poznańczyków, dla każdego, kogo mógł zdusić, bo był słaby, a on, on jaśniał majestatem królewskim oprawcy—narodów. Talleyrand był łotrem, szpiegiem i oszustem, Metternich — nędznikiem, tyranem książąt i ludów, ale w galeryi tych i podobnych im portretów Bismark zajmie stanowisko osobne. Ten człowiek pił krew ludzką a żył za dni naszych. Pamiętniki Bismarka! Czyż wreszcie one obejmą, mimo kłamstwo wszelkie, jakie mieścić będą, jedną myśl nową, jedno pragnienie nie wypowiedziane dotychczas, jedną hańbę, którejby nie znały dzieje ludzkości, jedną zbrodnię niebywałą? Spływa mi z pióra jedna parallela historyczna. Dzisiaj umiemy już odczytać napisy królów asyryjskich, umiemy podziwiać ich zasługi, któremi się chełpili, umiemy zajrzeć w głąb tej duszy królewskiej, która na straży swych tronów stawiała krwiożerczego wampira i byków skrzydlatych, którym powierzano pomniki najserdeczniejszych spowiedzi monarszych... Otwórz tylko księgę „Roczników“: „...wyszedłem przeciwko wrogom moim — woła Salmanacar—zamkniętych w mieście, ściśniętem pierścieniem żelaznym oblężenia, wiele tysięcy z ich rycerstwa ściąłem przed bramą miasta; a gdy spotkaliśmy się w polu, wyrżnąłem 20 tysięcy z Damaszku, 100 tys. z Ir Kanatu, 10 tys. z Sizonu: a pomocą był mi Asur, mój bóg, który spuścił na wroga strach śmiertelny i rzucił go do nóg moich“; albo na innej stronicy czytamy wyznanie Piglat-Pilecara: „...zająłem jego stolicę, uczyniłem ją na podobieństwo pustyni, spaliłem w ogniu; potem rzuciłem się na inne miasta, które zburzyłem, zrównałem z ziemią czarną, spopieliłem i wiatr uniósł ich potęgę niby piasek pustyni — ale Asur, bóg mój jedyny, którego się boję, był mi zawsze gwiazdą, która prowadziła mnie do szczęścia, a wrogów moich wiodła na manowce zniszczenia...“

Czyż nie to samo, tylko że pisane tak dawno, że dziś, gdy to czytamy, wydaje nam się czemś dziwnem, niemożliwem, nieprawdopodobnem. I to jednak wraca nie w pieśni, ale w życiu. Jaką pozycyę wypełnił Bismark w katalogu grzechów narodowych niemieckich, tego ani obliczyć dziś nawet nie sposób. Gdyby nie on, nigdyby apostolstwo Nietzschego nie przyjęło się tak bujnie na glebie germańskiej. Tylko pychą zatruty organizm zdolny był i przygotowany do wchłaniania w siebie całego jadu, jaki zawiera ta najnowsza ewangelia, do indywidualizmu samolubstwa i bezlitości. Ojcem duchowym Nietzschego nie jest, boć ten pisać i czuć mógł samodzielnie, ale do ojców chrzestnych nietzscheanizmu mimo cały protest wyznawców zaliczyć musimy i żelaznego księcia. On umiał uczonych, niby Homerowa wróżka, przemieniać na potwory. Umiał tych, którzy go nienawidzili — jak Dahn — rozkochać w sobie, nauczył ich wypierać się tego, w co dawniej wierzyli i obwołać Bismarka nietylko pierwszym z mężów stanu, ale i pierwszym z ludzi. Dzisiaj Haeckel prowadzi w jego rydwanie młodzież jenajską, Dahn opowiada w swych obecnie wydawanych „Wspomnieniach“ (tom III) o wizycie w Friedrichsruh, o rozmowie z kanclerzem, jak o objawieniu niebieskiem i objeżdża Niemcy, głosząc tryumf „krwi i żelaza.“

Pamiętniki Bismarka! Gdy wyjdą—niechaj je oprawią w symbole uczuć i natchnień autora ich— w „szkarłat“ szatański, niechaj zamkną na „żelazne“ klamry i złożą do muzeum pamiątek tortury. Tam jest dla nich miejsce właściwe: obok narzędzi męczarni, obok wspomnień Torquemady—niechaj spoczną i niechaj ludzkość o nich zapomni. Ale czyż tak prędko zapomni? Kto przewidzieć to potrafi? W cichości myśli wyznać się jednak odważymy, że duch jego żyć będzie długo jeszcze po gajach germańskich, że przez długie lata po śmierci jego wierzyć będą Niemcy, iż spoczywa kędyś w zamku spiżowym niby Fryderyk Barbarosa — i niby trupa mitycznego króla asyryjskiego obwozić go będą ku zbudowaniu ziomków, ku zgorszeniu, ku hańbie ucywilizowanej ludzkości europejskiej.

Zen. Por.

Z NAD NEWY.

IV.

Przypominam sobie dobrze tę chwilę z przed paru laty, gdy w Panopticum Berlińskiem ze czcią i wzruszeniem zatrzymałem się wobec małej ramki, w której pomiędzy czarnemi drewienkami, za szkłem, przyczepiony był na druciku kosmyk szarych włosów z podpisem: „Włosy Humboldta.“ Nie różniły się one od włosów kasyera, u którego nabyłem bilet wstępu, a kto wie, może nawet należały do jego przemyślnej głowy; przypominały nadto zupełnie zwyczajne włosie, sterczące czasem z dobrze postarzałych kanap; a przecie, jakkolwiek filozofia natury Humboldta nie urodziła się z jego włosów, na myśl, że może ten właśnie kosmyk powiewał nad czołem wielkiego przyrodnika, w chwili gdy zapuszczał badawcze oko w głębinę lada chwila mogącego wybuchnąć krateru — zdjął mnie wielki szacunek i wielki podziw dla owego kłaczka.

Wdzięczna pamięć ludzka pragnęłaby zachować na zawsze widok rysów twarzy i postaci zasłużonych mężów, ale zawistna śmierć psuje te rysy, odziera z ciała postać, a świecący szkielet i nagą czaszkę o trupim uśmiechu wyszczerzonych zębów, o próżnych oczodołach, powierza ciemnemu łonu ziemi.

Dążąc przecie do urzeczywistnienia swego pragnienia człowiek przywołuje na pomoc rylec rzeźbiarski, z marmuru, bronzu, gipsu, metalu, tworzy pomniki wielkim ludziom i stawia je na wieczną pamiątkę na placach i ulicach miasta.

I kwestya upamiętnienia wielkich ludzi byłaby zupełnie załatwioną, gdyby nie jedna drobna właściwość duszy naszej — przyzwyczajenie! Większość ludzi nie pamięta koloru i rysunku obić mieszkania, w którem przebywa lat parę, właśnie dla tego, że żyje pośród nich długo, że przestały one już zwracać ich uwagę. Pomniki na stałych mieszkańcach miasta robią takież same wrażenie, jak tapety pokoju na stałym lokatorze: przestają być widziane. Nie jestem, naprzykład, pewny, czy nie udałoby mi się wmówić pewnej ilości mieszkańców Warszawy, że Zygmunt III, (a może i Kopernik), przedstawiony jest w pozycyi siedzącej... na koniu! W istocie, trzeba być obcym przybyszem i wjeżdżać do Warszawy od strony Pragi, pod górę, aby uczuć chęć zadarcia głowy i przypatrzenia się dobrze statui uciekającego w niebo Zygmunta; trzeba posiadać ciekawość turysty, aby zejść z chodnika na Nowym Świecie i na wiosnę wędrować po kupach błotnistego lodu, otaczających pomnik genialnego astronoma, dla przyjrzenia się jego bosko-spokojnej twarzy i zbadania wysokości tych misternych gór, któremi stróże Warszawy zabezpieczyli statuę Kopernika od kradzieży niemieckiej.

Wogóle coraz mocniej przekonywam się o tem, że wszystko, co ma na celu nie pożytek, lecz upiększenie, wszelkie osobliwości miasta głównie istnieją dla cudzoziemców. W głębinach stępionej przyzwyczajeniem uwagi przeciętnego mieszkańca ozdoby miejskie ukrywają się tak dobrze, jak np. srebra stołowe i wykwintne serwisy w kredensie oszczędnej gospodyni, dopóki nie zjawi się gość. Przed gośćmi i miasto popisuje się swojemi pięknościami.

Jakiż np. zwykły mieszkaniec Petersburga pofatyguje się na wyjątkowo wąską

ulicę Puszkińską tylko po to, aby obejrzeć pomnik Puszkina i zadziwić się, czemu to statua wielkiego poety kryje się tak skromnie na uboczu, ściśnięta pośród tych ogromnych wysokich domów, jakgdyby pragnących się zawalić i zasypać gruzem szczuplutki skwer, na którym około pomnika matki karmią niemowlęta i urządza wyścigi krzykliwa dziatwa uliczna. A przecie obcy przybysz, który chętnie podejmie ten trud, porobi tutaj i inne odkrycia, niedostępne dla oka tych, którzy przechodząc codzień ulicą Puszkińską, dostatecznie oswoili się z pomnikiem: mianowicie zauważy on, że rzeźbiarz oczywiście w pośpiechu wyciągnął pierwszy lepszy stary surdut ze swojego kufra i włożył go (in effigie) na plecy Puszkina i wogóle poweźmie wątpliwość, czy słusznie natchnienie artysty upodobnionem zostało na fizyognomii posągu do wścieklizny jakiegoś podrzędnego oratora ludowych zamieszek.

Jest wszakże w Petersburgu jeden pomnik, który zdaje się zwycięzko urąga sile przyzwyczajenia. Mam tu na myśli wykonany według idei Falconneta, kolosalny posąg Piotra Wielkiego, który z ogromną mocą narzuca się oczom, może dlatego, że zajął miejsce nad Newą, na szerokim i pustym placu, może dlatego, że uniósł się wysoko po nad ziemię, stanąwszy na szczycie spadzistego, granitowego kamienia, ongi na dźwigniach podniesionego przez 400-tu robotników gdzieś, na wybrzeżu finlandzkiem, skąd rok cały mozolnie przesuwany przywędrował na brzegi Newy, a może dlatego, że w figurze bronzowego jeźdźca, wspinającego rumaka do skoku przez przepaść, tkwi idea jakiejś potężnej woli, która łamie wszystko, a przeprowadza swoje zamysły. Jakkolwiekbądź zadumany przechodzisz przez ten plac, ogromny cień rzuca ci się w oczy; zatrzymujesz się i spoglądasz na bronzowego jeźdźca i po raz tysiączny powstaje ci w głowie nużąco-uparta myśl, że to on rozkazał, aby to wszystko dokoła powstało, aby sędziwe drzewa upadły i ułożyły się, jako belki domów, aby wody bagien posłusznie zebrały się w kanały, aby błotnisty grunt opancerzył się granitem.

Warunki życia były tu pierwotnie tak ciężkie, a kupcy i rzemieślnicy — rzecz dziwna! — tak mało przejęci ideą przyszłego politycznego znaczenia stolicy nad Newą, że wypadło ich osiedlać gwałtem pod groźbą konfiskaty majątku, a nawet i ciężkich robót. Zresztą i później jeszcze ludności było tu tak niewiele, że cesarzowa Elżbieta Piotrówna, przeniósłszy dwór swój do Moskwy, postanowiła wysyłać dla zaludnienia stolicy wszystkich tych, co nie mogli wylegitymować się ze swego pochodzenia.

Ale opuśćmy ten plac, pamiątkowy i dla nas wspólną przechadzką dwóch największych w Słowiańszczyźnie mistrzów słowa, którzy ongi toczyli tu rozprawy, okryci ciemnymi zwojami jednego płaszcza i jednej, na chwilę upodobnionej idei. Przejdźmy przez masywny żelazny most na Newie na „Wasiliewskij ostrow“ w to miejsce, gdzie dwa kamienne, aż z Teb przybyłe sfinksy pilnują wejścia do ciężkiego staromodnego gmachu, na dachu którego zasiada żelazna Minerwa.

Jest to Akademia Sztuk Pięknych, dziecię ruchliwej myśli Piotrowej, zawdzięczające wcielenie swoje Katarzynie II, instytucya, która położyła nieocenione zasługi około estetycznego wychowania malarzy ruskich. Ona to kierowała pierwszymi krokami niemal wszystkich wybitniejszych mistrzów ruskiego pędzla, póki nie wyrośli z lat chłopięcych i nie udali się do błogosławionej karmicielki malarzy — ziemi włoskiej. Najlepszy marynista *) ruski, Ajwazowski, (ur. w Teodozyi w 1817 r.) był jej pensyonarzem, mając zaledwie lat 16. Bruni Fiedor (którego imię uległo przeróbce z włoskiego Fidelio) w jedenastym roku życia narzucał tu pewną ręką pierwsze rysownicze sztrychy, których oryginalna śmiałość wprowadzała w zdumienie profesorów. W tym samym czasie dziecięcioletni Briułłow (przekształcony z francuskiego Brulleau) zapowiadał się w oczach kolegów - akademików, jako świetny kolorysta. Obraz Bruniego „Miedziany wąż Mojżesza“ i obraz Briułłowa „Ostatnie chwile Pompei,“ po powrocie z Włoch, gdzie cieszyły się wielkim uznaniem znawców, w pierwszej połowie bieżącego wieku, stworzyły przełom w malarstwie ruskiem. Obraz Bruniego wystawiany był przez długi czas w jednej z sal zimowego Pałacu. Briułłowowi akademicy zgotowali powitalną ucztę w sali Akademii w obliczu jego dzieła. Dzisiaj oba te obrazy w przyjacielskiej parze zajmują ogromną ścianę jednej z sal marmurowego Ermitażu, ale ich twórcy, wynoszeni niegdyś przez krytykę ruską do siódmego nieba uwielbień, zostali obecnie strąceni z piedestałów za powianiem nowego, realistycznego prądu, reprezentowanego przez buńczuczną młodzież akademicką. U znakomitego rysownika Bruniego namacano piętę Achillesową — chorobliwy koloryt, wada, której nie mógł wykazać „Wąż Miedziany“: tam bowiem ponura groza pustyni Edomskiej, oświetlonej żółtymi blaskami słońca, zielonawo-trupie twarze pokąsanych przez węże ogniste synów nieposłusznego plemienia izraelskiego — słabą stronę Bruniego wyzyskały, jako niepospolitą zaletę.

Co do Briułłowa, którego akademickiej wytrawności rysunku niepodobna było również zrobić zarzutu, rzucono się na jaskrawą świetność i bogactwo jego kolorytu; znaleziono, że przedstawia on przedmioty w oświetleniu nieprawdziwem, niby w blaskach ogni bengalskich. Jest w tym zarzucie nieco słuszności: w istocie, Pompeja, zasypywana lawą i kamieniami wulkanu, oświetlona rozkosznie — purpurową łuną pożaru, zamiast przerażać, raczej pociąga, niby straszno-czarodziejski raj kolorowy, podobnie jak Syberya w „Anhellim“ wydała się poecie budzącym tęsknotę melancholijnym Edenem. Ale idealizm malarza wart jest idealizmu poety.

Akademia sztuk pięknych poświęcona jest głównie wystawie dzieł malarstwa narodowego; blizko piętnaście sal i saloników, rzuconych w kształcie amfiteatru, pozwala się zaznajomić z tem malarstwem w jego rozwoju historycznym, a osobna sala, zapełniona obrazami młodych wychowańców akademii, z napisem na drzwiach: „do sprzedania“ daje możność uchwycić w cząstce charakter panujących prądów, dość pozbawiony charakteru, a jak powiadają tutaj, mocno realistyczny.

Nie braknie wszakże i tu, mianowicie w specyalnym oddziale Kuszelewskim oryginalnych malowideł starych mistrzów włoskich, holenderskich, francuskich, jakkolwiek główne zbiorowisko arcydzieł Rafaela, Tycyana, Rubensa, Murilla i innych, nieobawiające się pod względem bogactwa porównania z podobnemi muzeami stolic zagranicznych, znajduje się w Eremitażu.

W salach Akademii najczęściej panują pustki. Prawo indyferentyzmu przeciętnego filistra, zaznaczone przez nas w stosunku do posągów, stosuje się także do muzeów i galeryj, zwłaszcza z wejściem bezpłatnem. Nie daremnie pani Morène, bohaterka „Kłamstw“ Bourgeta, szukając dyskretnego miejsca, wyznacza Ireneuszowi schadzkę w salonach Luwru. Jak tam, tak i tu, zabłąka się tylko ciekawy cudzoziemiec, zwiedzający pedantycznie osobliwości miasta, albo jakiś nieszczęśliwy korespondent, nieznajdujący w bieżącem życiu tematu do artykułu, lub wreszcie pilny malarz, rozkładający z namaszczeniem swoje przybory i starannie kopiujący jakieś cenne malowidło, aby zbyć następnie kopię za bezcen handlarzowi, od którego wędruje ono, dobrze opłacone, na ściany burżuazyjnego salonu, gdzie wkrótce zwraca tyleż uwagi, co i złocone kwiatki na białem tle obić. Ach, te kopie! potrafią one oddać wszystko prócz szanownej starości i kopiowanych płócien, a wyglądają, jak trup Inezy de Castro, wyciągnięty przez rozkochanego męża z mogiły, odświeżony, uróżowany i posadzony na tronie, przed który musieli iść i składać hołdy dworzanie, co nikczemnemi intrygami spowodowali jej śmierć.

W obrazie, znajdującym się w Akademii, Briułłow upamiętnił chwilę, gdy ta nieszczęśliwa kobieta, blada, ze łzami w oczach, odziana tylko w koszulę, błaga na klęczkach okrutnika, aby darował jej życie. Dwoje dzieci, drobnemi rączkami mocno obejmuje matkę, jakgdyby mogły zaprotestować przeciwko gwałtowi, wykonywanemu przez suchego, zaciętego, despotycznego starca, wydającego rozkaz morderstwa. Trzej dworzanie, otaczający Alfonsa IV i Inezę z wyciągniętemi sztyletami, gotowi do zadania zbrodniczego razu, mają w twarzach taki drapieżny wyraz, taką chciwość krwi, że głodne wilki, szarpiące jagnię, wobec tych ludzi jeszcze mogłyby być posądzone o ludzkie uczucia *).

(D. n.).

Leo-Belmont.

*) Malarz morskich widoków.

*) Scenę tę uwiecznił także Camoens w *Luzyadzie*.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XVI.

11 sierpnia, Chicago, wystawa.

Jak ktoś patrzy się na swoje zajęcie, a zatem czy je ukochał lub też traktuje z niechęcią, jako jarzmo narzucone mu przez nieprzychylne losy, słowem jak ktoś zachowuje się względem swego fachu, o tem rychło można się przekonać po krótkiej rozmowie. Wielu jest nieproszonych pedagogów, którzy niecierpliwie pchają przed sobą taczkę, do jakiej traf przykuł ich dłonie. „Buda“ ich niecierpliwi a największą nieprzyjemnością jest, gdy ktoś po godzinach „katorgi“ zagadnie ich o sprawy wychowawcze. Za całą odpowiedź bąkną coś pod nosem i jak najrychlej przerwą nieprzyjemną rozmowę.

Nie wiem, czy przypadkiem, dość, że w Starym świecie zwykle spotykam takich rozgoryczonych pedagogów, w Nowym zaś ludzi, którzy, zagadnieni o sprawy szkolne, gotowi są rozprawiać bez końca. Te drobiazgi, w jakie się wdają, te szczególiki, jakie podnoszą, to ciepłe uczucie, z jakiem dają informacyę, wszystko to brzmi inaczej — milej i serdeczniej. W galeryach Halli przemysłu pojedyncze stany okazały swoje szkolnictwo, a przy wystawie znajduje się jeden i drugi pedagog. Są to niekiedy osoby, zajmujące wybitne stanowisko, ale ono nie oślepiło ich — każdego obdarzają jednako serdecznemi informacyami, nawet smarkaczów, którym spodobał się jakiś rysunek w wystawowym kajecie i teraz naprzykrzają się o szczegóły. A jeżeli ktoś śpieszy się i chce otrzymać jakąś drobną informacyę, niechaj działa ostrożnie! Rozpłomieniony pedagod gotów go trzymać z godzinę!

W Ameryce rzadko kto rzuca się na pole pedagogiczne dla *businessu*. Ludziska są tam pełni praktyczności i wiedzą, że majątek zrobić można na szmalcu, pieprzu, „medycynie,“ ale nie na pedagogice. Do

niej biorą się tylko ci, którzy istotnie ukochali ten zawód. A nadto nie znają oni tego, co u nas zowie się zapracowaniem. Znam w Warszawie nauczycielki, które po dziennej pracy są bez sił. Czy w tym nadmiarze trudów nie pierzchną najlepsze chęci i zawód nie przybiera odrażającego wyglądu? Rzecz dziwna. Właśnie u tych zapracowanych pedagogiczek dotychczas znalazłem najwięcej ciepła ku maleństwu i nawet ku owej budzie, w której tracą młode siły, najmniej — u panów pedagogów z wyrobionem imieniem, którzy nie potrzebują tak uginać się pod ciężarem taczki nauczycielskiej.

12 sierpnia, Chicago, city.

Czuję, iż zwolna utracam wrażliwość nawet na charakterystyczniejsze rysy życia amerykańskiego. Po prostu przyzwyczaiłem się do nich i to, co kiedyś wydawałoby mi się dziwnem, teraz uważam za rzecz najnormalniejszą w świecie. Ma to swoje ujemne strony. Wiele objawów zwróciło moją uwagę zaraz na samym wstępie, ale nie ośmieliłem się o nich wyrokować, obawiałem się bowiem złudzeń pośpiesznego sądu. Dzisiaj daremnie usiłuję je scharakteryzować, zżyłem się z niemi, a one utraciły dla mnie swoją ostrość i wyrazistość i tem samem pierzchła zdolność przelania ich na papier.

Dziury i łaty w chodnikach przestały mnie dziwić, a łobuzerka małego obywatelstwa stała się dla mnie widokiem codziennym. Trzeba wypadków, wychodzących po za „normalny" bieg życia, ażebym spostrzegł, że one istnieje. Reklamy nie rażą mnie, nawet jeżeli spotykam szyldy, głoszące, że jasnowidzące medium udziela porady lekarskiej i wróży, albo inne, ogromnemi literami przemawiające do osób płci męzkiej i zapraszające jedynie ich do składania wieczorem wizyt podejrzanym zakładom, kryjącym się pod maską muzeów osobliwości.

Przed chwilą jechałem koleją miejską. Tłok był straszny, dziesiątki osób, a śród nich sporo kobiet, stały w pośrodku pomiędzy siedzeniami i trzymały się pasów, sterczących w górze. Przy mnie rozparł się ośmioletni malec, o którym sądziłem z początku, że jest synem siedzącej naprzeciwko damy, w takiej bowiem był z nią zażyłości, Gwizdał, nachylając się do ucha, brał jej rękawiczki. Dziwiła mnie pobłażliwość owej damy, oraz, w porównaniu z jej strojem, ubóstwo, niemal nędza, przeglądająca z odzieży malca, wreszcie i to, że matka nie każe mu wstać i ustąpić miejsca stojącym kobietom. Po jakimś kwadransie malec upodobał sobie jakąś damę z drugiego końca wagonu, zaprosił ją na swoje miejsce, a niebawem na drugiej czy trzeciej stacyi wyszedł, jeszcze z peronu płatając figla mniemanej matce. Był to poprostu używający przejażdżki urwis, widocznie dziecko bardzo niezamożnych rodziców. Czy taka poufałość pomiędzy damą a ubogim smarkaczem byłaby możliwa w naszej części świata? Malec wyglądałby na zahukanego dziczka, trwożliwie kryjącego się w kącie. A czy uszanowanoby jego prawo do krzesła? Każda nieco lepiej ubrana dama poprostu zawołałaby konduktora i kazała zegnać obdartusa, każdy zaś dżentlmen, sławiący się swoją grzecznością w towarzystwie, a jednocześnie demokratyczną tolerancyą, wyciągnąłby go za uszy. W Ameryce inaczej szanują prawa jednostki, chociażby ubogo ubranej i nieodrosłej od ziemi. Nawiasowo muszę przytem nadmienić, że uważają tu demokratyczne wywody inteligencyi europejskiej za humbug najczystszej wody. Mniemają, że każde młode zwierzątko, swawolące w ten sposób, samo gotowe obryzgać szyderstwem własne zasady, jeżeli inni nie raczą mu kłaniać się zbyt nisko do nóg, a na wybryki jego patrzeć nie jako na objawy geniuszu, lecz uważać wprost za następstwa złego humoru, chorobliwie rozdętej ambicyi, albo głosy niskiej chuci.

Ktoś, udający się na wystawę koleją górną, miejscami może oglądać z okna jeszcze kompletne pustki. Przed nami przestrzeń, w najwyższym stopniu zaniedbana, porosła chwastami. Drewniane domki rozsiadły się nielicznie, do nich przez zielska prowadzą drewniane chodniki. Kiedyś wdłuż nich pobiegną ulice, posiadają one już nazwę, ale dzisiaj są jeszcze zbyteczne. To też z obu stron chodnika chwast bujnie się krzewi. To znowu taki sam chodnik biegnie śród pola i urywa się nagle. Ale nie myślmy, aby istniał bez celu. To właściciel sąsiednich gruntów podzielił ziemię na cząstki, przeprowadził chodniki, niby balustrady, z których amatorzy zdołaliby obejrzeć place. Ziemia odpoczywa. Nie! — dźwiga na swoim grzbiecie mnóstwo dodatków, od których pewnie zbiera się na płacz duchom dawnego wolnego stepu. Te przestrzenie porosłe burzanem służą za śmietnisko! A z pośród zeschłych odpadków, z pośrod rozmaitego paskudztwa podnoszą się tyki z reklamami.

Tak jeszcze wyglądają niektóre dzielnice Chicaga! Teraz kiedy od suszy wszystko na pół się spaliło, ponuro wygląda ta równina, nad którą spoczął tuman kurzu miejskiego. Oto pociągnęły się gaje wiązów. Jest to parodya lasu, ale zawsze lasu. A człowiek, chociaż całe obecne stulecie gorliwie pracuje nad tem, aby oduczyć się od potrzeb praojców — czystego powietrza, dostatecznego słońca, obfitej zieloności i przekształcić na miejskie zwierzę, rozkoszujące się, że łyka pył skwerów, tęskni więc za przyrodą, w Ameryce silniej, niż u nas. To też starczyło małego gaiku, ażeby rozłożył namioty. Jeden obóz — drugi — trzeci!.. Lubię te obozy amerykanów! Świadczą one o człowieku inaczej, aniżeli te nasze niby-wiejskie siedziby. Wchodzimy do jednego z nich. Parkan oddzielił znaczną część gaju, namiot stoi przy namiocie, prawdopodobnie setki. Mieszkanie z płótna, przewiewne, wśród skwarów, jakie panują w Chicago, musi być istnym skarbem. W obozowisku, w którem przebywa do kilkuset osób, usadowiła się restauracya. Opłata bardzo nieznaczna. A i namiot kosztuje mało! Mieszkają tam osoby niezamożne, przykute do miasta warunkami zarobku i niemające czasu szukać czystszej przyrody w okolicy pozamiejskiej.

A takich letnich obozów istnieje mnóstwo na ziemi amerykańskiej. Są obozy-kluby, obozy ekstazy religijnej czyli tak zwane *revivale*, nawet obozy-uniwersytety. Amerykanin lubi przyrodę i umie korzystać z jej wdzięków.

* * *

Wróciwszy do domu, biorę do ręki katalogi letnich mieszkań i letnich wycieczek. Pod każdą miejscowością znajdują się adresy hotelów oraz prywatnych domków, przyjmujących letników, z podaniem ceny. Hotele są obliczone na kilkaset, prywatne domki na kilkanaście i kilkadziesiąt. A cena jest bajecznie nizka, jak na stosunki amerykańskie. Dziesięć dolarów — przy amerykańskiej stopie zarobków co najwyżej naszych dziesięć rubli — jest już wyjątkowo mało za tydzień czasu, a za te pieniądze dostajemy mieszkanie z pościelą, oświetleniem i życie. Pięć, sześć dolarów jest zwykłą cyfrą, lecz znajdujemy i niższe. W jakiej dziurze u nas pojedyncza osoba znalazłaby elegancko umeblowany pokój, trzy obiady dziennie — bo tak żyje amerykanin — za 20 rubli miesięcznie? Oglądam rysunki domków. Istotne pałacyki, wobec których cały Otwock jest zbiorem lepianek! A położenie! Domki leżą nad morzem, inne patrzą oknami na pasmo wodospadów, bielejących na zielonej kanwie lasów, inne obsiadły jakąś scenę drobnych wysepek. Amerykanin uśmiałby się serdecznie, gdyby kazano mu mieszkać wśród wydm piasku, porosłych karłowatą choiną. Wielki kapitał — wolę go niż drobne robactwo robigroszów — ujął w swoje ręce sprawę letnich mieszkań i wysyła ajentów szukać nowych ustroni, a kiedy znajdzie się jakiś Ojców, wśród dzikiej pustki powstają hotele, nawet umyślne drogi elektryczne. Renta, jaką zdziera kapitalista za wynajem wdzięków przyrody, jest nizką, obliczoną na masy. Nadto miejsce jest tyle, a konkurencya zniża haracz! Niekiedy, zamiast hotelów lub domków, widzę obozy, jakiś klub wioślarzy wyniósł się na lato nad brzeg morski, zbudował namioty z płótna i prowadzi koczowniczy tryb życia, przenosząc się z jednej miejscowości do innej. A dokoła kolonii powstają wyścigi piesze, wioślarskie, cyklistów — kobieta w nich uczestniczy, olbrzymie krokiety i palanty, kluby dyskusyjne, nawet wykłady w rodzaju akademij mędrców ateńskich. Podczas wakacyi amerykanin żyje jak człowiek — ciałem i myślem. Jest *bysnesistą*, ale posiada w sobie materyał na coś o wiele lepszego. Niekiedy godzę się z *businessem*, kiedy zaczynam przyglądać się innym stronom życia czysto amerykańskiego. Dla ćwiczeń ciała nie ma on pogardy filozofujących zdechlaków, a kiedy idzie o zabawę zbiorową, zapomina, że jacyś trznadle i jakieś papużki stworzyły kodeks *savoir-vivre'u*.

Biorę do ręki drugi katalog, kolei Hudsońskiej, około 500 stronic. Nie patrzę na letnie mieszkania, bo i cóż mogę dodać do tego, com powiedział? Natomiast przykuwają do siebie moją uwagę udogodnienia kolejowe. Letnie bilety są za bezcen, wynoszą piątą część wartości, istnieją bilety rodzinne, tej samej ceny bez względu, ile osób jedzie, a bilet wynosi połowę ceny zwykłego; pociągi zatrzymują się w polu, niby tramwaje, jeżeli ktoś czekający da znać chustką! Naszych możnowładców, panujących nad kolejami, wysłałbym do Ameryki na naukę — nie żeby nabyli grzeczności, chociaż i w tej mierze dużo skorzystaliby, ale wprost, aby nabrali rozumu. Bysnesista amerykański kieruje się tylko rozumem. Przestał trzymać się on zasad drobnomieszczańskiego skąpca, który woli dzisiaj zabrać grosz, aniżeli za rok setkę.

L. K.

KTO WINIEN?

Ubiegłe lato zaznaczyło się szeregiem wypadków na kolejach żelaznych. Koło Saratowa rozbił się pociąg, podobno skutkiem tego, iż maszynista pędził całą siłą pary na przestrzeni, gdzie był tor naprawiany. Między Równem a Zdołbunowem spotkały się pociągi towarowe, przyczyną zaś katastrofy był pomocnik zawiadowcy, który zapomniawszy o istnieniu nowego toru i o tem, że pociągi mijają się, zwrócił na starą linię, przeznaczoną dla biegu z przeciwnej strony. Między Wilnem a Mińskiem rozbił się pociąg towarowy skutkiem pęknięcia obręczy na kole wagonu. Wreszcie na stacyi Bielsk pękł parowóz z przyczyn dotąd niedocieczonych. Są to tylko najświeższe wypadki i jedynie w obrębie państwa ruskiego. Nie mówimy o katastrofach amerykańskich na wielką skalę, gdzie całe pociągi wraz z mostami nikną w nurtach rzek, jezior i w przepaściach, bo tam wszystko jest obliczone na pośpiech, a cena życia ludzkiego w gorączce handlowo-przemysłowej najniżej stoi. Statystyka wykazuje najmniej wypadków kolejowych, a z nimi ofiar ludzkich w Europie. Cyfry te jednakże nie są tak małe, ażeby

dawały nadzieję zupełnego usunięcia w krótkim czasie niebezpieczeństwa. Pomimo udoskonalonej sygnalizacyi, pomimo rozpościerania coraz surowszych przepisów o odpowiedzialności nad głowami pracowników w dziale ruchu, katastrofy są dość częste i w skutkach swoich — okropne. Losy setek tysięcy ludzi, codzień odbywających podróże, niczem nie są lepsze od położenia spadochronisty, zawieszonego w powietrzu. Na szczęście mały procent podróżnych uprzytomnia sobie żywo cały obraz niebezpieczeństwa. Mają oni rękojmię w jednej tylko postaci — „ubezpieczenia życia od nieszczęśliwych wypadków.“ Określenie nie zupełnie zgodne z logiką, bo tu nie życie się zabezpiecza, ale byt krewnych w razie śmierci pasażera, lub utrzymanie jego samego w razie kalectwa podczas jazdy nabytego. Ale te kioski i ogłoszenia w salach dworców na nerwowych robią takie wrażenie, jak zakłady pogrzebowe z trumnami i całym garniturem żałoby.

Z wielką uwagą zwykle śledzę urzędowe dociekanie przyczyn katastrof kolejowych, w których badaniu nie zawsze się ujawnia dostatecznie prawdziwy stan rzeczy. Winnych naturalnie zarządy kolejowe poszukują śród swych pracowników i w wielu razach wina ta bywa im dowiedziona. Bo jużci, jeżeli maszynista nie dostrzegł sygnału czerwonego lub wagonu na torze, jeżeli zwrotniczy lub telegrafista zasnęli na stanowisku tak dalece, że ani trąbka drożnika, ani sygnał aparatu nie mogły ich obudzić, to nie kto inny, tylko oni są winni i za sprowadzenie katastrofy, jeżeli sami nie stali się jej ofiarami, muszą podlegać najsurowszej karze. Staje się tu zadość logice prawa, ale nie głębokości poszukiwania przyczyn. Maszynista może być winien, że nie dostrzegł sygnału, telegrafista i zwrotniczy— że zasnęli. Ale kto winien, że pierwszemu mgła oczy zasłoniła, a drugiego i trzeciego sen opanował? Tych przyczyn nikt nie wydobywa i nie kładzie na szalach sprawiedliwości. Przeciwnie — w interesie (źle zrozumianym) przedsiębiorstw komunikacyjnych jest ukryć prawdę jaknajstaranniej. Maszynista prędzej traci wzrok i wogóle siły, niż dobiegnie do końca okres jego służby, potrzebny dla całkowitej emerytury. To samo z innymi. Żeby kalectwo pracowników nie było przyczyną wypadków na kolejach, ustanowiono peryodyczne badanie wzroku, a obecnie czynność tę ujęto w formę świeżo opracowanych przepisów następujących: Lekarze dróg żelaznych przestrzegać mają, aby urzędnicy i oficyaliści wydziałów: drogowego, mechanicznego, ruchu i telegrafu nie byli dotknięci kalectwem i wogóle nie mieli żadnych niedokładności fizycznych, mogących im przeszkadzać w rzetelnem spełnianiu obowiązków służbowych. Lekarze ci w obecności naczelników wydziałowych obowiązani są poddawać oględzinom lekarskim: osoby wstępujące do powyżej wymienionych wydziałów, pracowników zaś pozostających tam dawniej, badać co rok. Nadto należy śledzić stan fizyczny tudzież bystrość umysłu tych urzędników, którzy przebyli choroby organów wzroku, słuchu, wstrząśnienia mózgu i wogóle takie przypadłości, które z natury swojej mogły osłabić ich zdolność do dokładnego spełniania obowiązków. Szczególnej baczności lekarskiej podlegać mają wzrok i słuch, dla przekonania się, czy urzędnicy widzą i odróżniają doskonale sygnały w odległości 300 sążni podczas pogody, czy nie są dotknięci daltonizmem i czy słyszą doskonale kolejowe sygnały akustyczne w odległości 500 sążni. Po orzeczeniu lekarza i pozwoleniu dyrektora kolei, zawiadowcy tudzież ich pomocnicy mogą używać szkieł, doprowadzających wzrok do stanu normalnego. Naczelni lekarze opracują szczegółowe instrukcye, w których wykazane będą wszystkie niedokładności fizyczne, przeszkadzające sumiennemu spełnianiu obowiązków.

Nie można odmówić doniosłego znaczenia tym przepisom; częste i skrupulatne badanie zdatności do pracy tego personelu służby, na którego barkach spoczywają losy setek tysięcy podróżnych — jest rzeczą konieczną, również i zmiana pracowników, których zdrowie tak szybko się zdziera, jak obuwie na bruku miejskim. Ale to ostatnie po zniszczeniu nie potrzebuje już smarowidła, gdy tymczasem dymisyonowany urzędnik lub oficyalista po starganiu swego zdrowia przed okresem wysłużenia emerytury, musi żyć jeszcze i rodzinę utrzymywać. W obecnym atoli stanie rzeczy większą ma wagę bezpieczeństwo wielkiej masy podróżnych, niżeli losy garstki pracowników usuniętych. Ale czy tylko badanie zdolności do służby zapewnia to bezpieczeństwo? Wiadomo, że niedoświadczony maszynista, zawiadowca stacyi, zwrotniczy, telegrafista, są również niebezpiecznymi na służbie, jak obarczeni wadami fizycznemi lub nałogiem narkotyzowania się. Nie na wiele zatem się przyda powyższy sposób odświeżania sił. Przedsiębiorstwa komunikacyjne nie uznają tej prawdy, znanej każdemu prostakowi, że im więcej par butów posiadamy, tem na dłużej każda z nich wystarczy. Przeciwnie — względem ludzi widzimy stosowanie takiej oszczędności, jakiej się chwyta skąpiec pospolity: nosi jedną tylko parę butów i gdy jest przekonany, że na tem oszczędza, dziurawe podeszwy sprawiają mu zaziębienie i chorobę, wymagającą bardzo kosztownej kuracyi.

W gospodarce kolejowej znane są fakty rozbijania się pociągów, wywołane przeciążeniem służby ruchu. Każdy z pracowników, chociażby miał zdrowie żelazne, niewyczerpany zasób sił i wielkie skarby sumienności w spełnianiu obowiązków, staje się najniebezpieczniejszym w służbie ruchu, jeżeli nie śpi parę nocy z rzędu i to w takich warunkach, gdzie nawet normalna liczba godzin snu nie może przywrócić zapasu energii, zużytej podczas pozostawania na stanowisku. Gdyby obliczyć, ile szkody przyniosły kolejom wypadki, pochodzące z senności pracowników, otrzymalibyśmy z pewnością cyfrę tak olbrzymiego kapitału, że odsetki jego wystarczyłyby na podwojenie służby ruchu. Przedsiębiorstwa kolejowe nie rozumieją wszakże rezultatów tego systemu, jaki zdołali ocenić kapitaliści zagraniczni: że częsty wypoczynek pracowników i obarczanie względnie do sił, zwiększa jego energię, a zatem i produkcyjność pracy. Jeżeli drogi żelazne przyjdą kiedyś do przekonania, że maszynista powinien być bardzo dobrze uposażony, bez osobnego dodatku t. zw. wiorstowych, które są tylko pokusą do pracy nad siły, że z powodu zajęcia zbyt szybko niszczącego zdrowie powinien on krócej pracować i w znacznie mniejszym okresie, niż dzisiaj dosługiwać się emerytury, że wogóle obecna praca służby ruchu powinna być rozłożona na dwa razy większą liczbę osób — wtedy gospodarka kolejowa będzie prawdziwie *oszczędna*, a fakty dowiodą, że w znacznej większości wypadków nie pracownicy przyczyniali się do katastrof, lecz raczej obarczający ich system służbowy. Wtedy tylko niebezpieczeństwo, grożące podróżnym i finansom kolei, zejdzie do minimum, a obostrzenie przepisów o odpowiedzialności personelu będzie zbyteczne.

Zen. Piet.

LIBERUM VETO.

Rozmowa z nowoczesnym Farysem. — Znaczenie bicykla w obecnej epoce. — Źródła najsilniejszych wzruszeń. — Porównawcze zestawienie bohaterów naszego czasu. — Kilka przykładów wielkości. — Olśniewające racye. — Wyścig o zapomogę pracowni d-ra Bujwida. — Nieprzewidziany spadkobierca. — Dokończenie rozmowy, czyli sens moralny dla naiwnych marzycieli.

Człowiek, wychodząc z domu na zwyczajną przechadzkę, nie zdaje sobie wcale sprawy, jak ryzykowne podejmuje przedsięwzięcie. Bo przecie może być pchnięty nożem przez jakiegoś waryata, pozostającego „na opiece rodziny,“ ukąszony przez psa wściekłego lub zabity przez spadającego z rusztowania mularza, może się zakochać, może jak św. Hubert ujrzeć jelenia z krzyżem między rogami, może wreszcie zmienić do gruntu jakieś swoje przekonanie. Ten ostatni wypadek zdarzył mi się przed kilku dniami. Pomimo że wybieram do spaceru ulice możliwie puste (ażeby zmniejszyć stopień ryzyka), spotkałem jednego ze „sprężystych,“ który również korzystając z wolnej ulicy, używał przyjemności nowożytnego Farysa na rowerze. Prędzej, niż sęp lub góra, ustąpiłem mu z drogi, on jednak zatrzymał „stalowego rumaka.“

— Dlaczego pan — rzekł — czuje taką odrazę do naszej „maszyny“?

— Odrazę? Przeciwnie, wielki szacunek.

— Nie domyśliłbym się tego.

— A jednakże tak jest. Jeżeli człowiek znajduje rozkosz w szybkiej zmianie miejsca, to lepiej, że używa do niej martwego przyrządu, niż żywego zwierzęcia. Wiesz pan, czemu nie mogę jeździć konno, chociaż lubię? Dla tego, że koń jest żywy, że siedząc na nim, wyobrażam sobie, że go przygniatam nadzwyczajnym ciężarem i nielitościwie męczę, że on dobywa resztek sił, ażeby mnie unieść. Zwłaszcza gdy okryje się potem lub pianą, nie mogę wytrzymać i natychmiast zeskakuję. Daremne są wszelkie porównywania mojej wagi z jego siłą, daremne wszystkie argumenty rozumu — na olbrzymim perszeronie doznałbym takich przykrości, że musiałbym z niego zsiąść. Tymczasem wasza „maszyna“ nie sprawia takich udręczeń, gdyż jest martwa a ruch nadają jej nogi jeźdźca. Za to ją szanuję.

— Dlaczego pan nie jeździsz na niej?

— To inna sprawa i dosyć złożona. W młodości nie należałem do młodzieży „sprowadzanej“ na bale, potem nie należałem do miłosiernej publiczności, tańczącej dla biednych, teraz nie chciałbym służyć za tarczę wioskowym małym i dużym obywatelom, którzy na cyklistach probują celności rzutów kamieniami i wytrzymałości kijów, a ich pieski ostrości swych zębów. Zresztą gdyby nawet można było zabezpieczyć się przeciw czworonożnym Burkom i dwunożnym Maćkom, to jeszcze niepodobna zabezpieczyć się przeciw wielbicielom waszych mistrzów, z których każdy uważa sobie za obowiązek swojej dla nich czci krzyknąć na ulicy do przejeżdżającego cyklisty: panie Horodyński, panie Horodyński, zrób *finisz*. Ale, ale, objaśnij mnie pan, dla czego wasze Towarzystwo ustanawia tak rozległe tytuły, jak np.: „mistrz jazdy Królestwa polskiego za r. 1893“? Wobec częstości wyścigów należałoby przyznawać bardziej szczegółowe — np.: „mistrz jazdy Królestwa w d. 8 października o godzinie 11 rano.“

— Rozumiem tę uwagę. Według pana my urządzamy za często turnieje. Otóż to jest mniemanie błędne i — proszę mi darować szczerość — lekceważące psychologię społeczeństwa. Bo przypuśćmy, że Towarzystwo wyścigów konnych, wio-

ślarze, cykliści zaprzestają popisów publicznych; czem społeczeństwo będzie się wzruszać? Wzruszenia zaś... ziemi potrzebuje nawet drzewo owocowe, które co najmniej raz w roku bywa okopywane. A co nam, ludziom, dostarcza wzruszeń? *Pan Tadeusz*, *Halka*, obraz Matejki — prawda, ale trudno przecie, ażebyśmy ciągle czytali *Pana Tadeusza*, słuchali *Halki* lub patrzyli na obraz Matejki. Po za temi, nielicznemi zresztą źródłami zachwytów co mamy czynić? Iść do teatru? Idę i raczę się: albo głupią farsą, albo jakąś komedyą, która mi nie przeszkadza rozglądać się wokoło, albo po raz tysiączny odegranym *Hamletem* w nowem „pojmowaniu,“ albo po raz tysiączny odśpiewaną *Aidą* z nowym „woluminem“ głosu. Czy to ma mnie wzruszać? Ani chwili. Może iść na wystawę obrazów? Idę. Tu portret przemysłowca, tam — aktorki, tam — chłopiec, pasący bydło, gra na fujarce, tam zabłocony żyd przejeżdża targowanego konia, tam zając ogryza kapustę, tam dziewczyna pierze bieliznę w strumieniu — czy to wszystko mnie wzrusza? Bynajmniej. Mam wziąć książkę do ręki? Dobrze. Autor opowiada, że były (w jego głowie) dwie kobiety: jedna zacna jak rumianek, druga próżna jak paw; pierwszą mąż porzucił i legł niewolniczo u nóg drugiej. Ostatecznie jednak cnota odniosła tryumf. Czy mnie to bajka wzrusza? Ani odrobiny, choćby dlatego, że jest bajką. Tymczasem gdy konie, wioślarze, cykliści biegną do mety, gdy szala zwycięztwa między nimi ciągle się waży, gdy wszelkie rachuby los krzyżuje coraz nowemi niespodziankami, to mnie rzeczywiście wzrusza. Wtedy czuję gwałtowne bicie serca, przyśpieszony oddech, dreszcz w ciele, wtedy — jestem cały pochłonięty widokiem gonitwy. Postaw pan na katedrze Konopnicką, Sienkiewicza lub Prusa, niech odczytują swoje najpiękniejsze utwory, z pewnością część słuchaczów będzie ziewać, szeptać, drzemać, zdradzać roztargnienie albo nudy. Gdyby zaś przed tem zebraniem przeleciały dwa ścigające się konie, wszyscy skupiliby na nich całą swoją uwagę. Widziałem w teatrze mężczyzn lornetujących swoje otoczenie, a kobiety jedzące cukierki podczas duszenia Desdemony przez Otella, lecz nie widziałem żeby kto lornetował lub jadł cukierki, podczas gdy zwycięzki koń, cyklista lub załoga łodzi wioślarskiej dobiega do trybuny. Powiesz pan może, że tu mamy przedmiot niegodzien mocy wrażenia? A czy góra warta naszego zachwytu? Bo czemże ona jest? Olbrzymią kupą piasku i skał, obrosłą karłowatemi drzewami. Jednakże nie mówimy do niej z pogardą: ty marna zawało, po co zasłaniasz widnokrąg; lecz: jakżeś wspaniała! Czemuż więc nie ma być wspaniałym cyklista, przelatujący tor z szybkością wiatru? Zresztą zamiast rozważać przyczynę, lepiej ocenić skutek, który świadczy najdowodniej, że dziś nic nie zdoła tak wzruszyć społeczeństwa, jak wyścigi.

— Masz pan racyę, sto, tysiąc racyj.

— Pójdę dalej — rzekł — nietylko my, ale cała Europa nie zdołała wydobyć z siebie żadnego widoku, żadnej ponęty, żadnego czaru, któryby silniej działał na umysły. Przytocz mi pan jeden wypadek, w którymby ludzie bardziej się roznamiętniali, więcej tracili pieniędzy — i to wszyscy od najbiedniejszych do najbogatszych. Gdyby w Hiszpanii zniesiono szpitale i uniwersytety, nie wywołanoby takiej zgrozy, jak zniesieniem walki byków. Koń wyścigowy, który zdobył najwyższe nagrody, dochodzi w cenie do 200,000 fr.; czy jest dziś istota żywa lub utwór ręki ludzkiej, za któryby tyle ofiarowano? Wielka nagroda, wyznaczana corocznie na wyścigach w Anglii i Francyi, wynosi więcej, niż najwyższe sumy, złożone w akademiach za odkrycie lekarstwa przeciw cholerze lub zbadanie bieguna północnego. Koń zdobywający Derby wygrywa 100,000 fr.; nigdy jeszcze żaden geniusz nie otrzymał tyle za kilkanaście minut pracy. Cyklista, który przejedzie na rowerze z Paryża do Wiednia, bardziej zajmuje uwagę publiczną, niż uczony, który ogłasza epokowe dzieło: gazety śledzą go na całej drodze, telegraf donosi o jego posuwaniu się, wszędzie jest przyjmowany jak prawdziwy tryumfator. Gdyby Emin pojechał był w głąb Afryki na rowerze, nie zachodziłaby żadna wątpliwość o jego losie; ponieważ udał się pieszo, nie wiadomo nawet, czy żyje. Nic tu nie pomogą żadne kazania; ludzkość największą zwraca uwagę i największe ponosi ofiary na to, co ją najbardziej zajmuje. Zamiast więc drwić z naszych wyścigów, społeczeństwo powinno nam być wdzięczne, że mu dostarczamy głębokich wzruszeń.

Milion racyj. Wyznaję, że nie umiałbym odeprzeć tego rozumowania; wolę więc zapisać z czcią do księgi pamiątek fakty, niż daremnie zmniejszać ich wagę. A zatem Dynasy, pierwsze źródło naszych wzruszeń, dostarczają nam ich ciągle. Nie prowadzę ścisłej kontroli, ale zdaje mi się, że tam co tydzień p. Horodyński zdobywa tytuł mistrza jazdy i jakiś wyższy żeton. O tem, ażeby on nosił wszystkie te znaki honorowe, nie może być mowy, okaże nam je chyba kiedyś na jakiejś specyalnej wystawie. Wioślarze, którzy nie posiadają tak wybitnych bohaterów i którzy pod względem wzruszania nas stanowczo zostali zdystansowani przez cyklistów, żałują zapewne tego, że zbyt wcześnie wycofali się z Wisły na zimowe leże, gdyż śliczna pogoda pozwoliłaby im urządzić jeszcze w październiku kilka „recordów“ czy „regat.“ Nie skarżmy się jednak — wzruszeń nam nie zbraknie, gdyż Towarzystwo wyścigów konnych weszło w okres swej jesiennej chwały. Dotychczas rozegrało ono tylko nagrody „otwarcia“ i „pocieszenia“ — stawki nader skromne, które nie wyprowadzają w szranki głównych bohaterów (chociaż pisma zaznaczają, że gdy pewnego dnia zwyciężył jakiś koń niebudzący nadziei i gdy wielbicielom jego nóg totalizator wypłacił po 270 rs. — wzruszenie było nadzwyczajne). A co to będzie później!

Całkiem niespodziewanie i nadetatowo przybył nam w tej porze jeden wyścig, który również dostarczył wzruszenia twórcom etyki lekarskiej. Jak wiadomo istniała w naszem mieście pracownia naukowa, założona przez d-ra Bujwida, która jako jedyna lecznica wścieklizny, otrzymywała zapomogę od miasta. Gdy Bujwid, mianowany profesorem hygieny w uniwersytecie krakowskim, opuścił Warszawę—ustąpił pracownię swojemu długoletniemu i zdolnemu pomocnikowi dr. Palmirskiemu, który miał ją dalej prowadzić przy pomocy wspomnianego zasiłku. I oto tu rozpoczął się wyścig. Ktoś, kto nigdy nie zajmował się ani bakteryologią, ani hodowlą i szczepieniami jadu wściekliczego, wystąpił jako spadkobierca przywilejów pracowni Bujwida, a przeciw nabytym zasługą, nauką i umową prawom Palmirskiego. Podobno wypadek ten, drwiący niemiłosiernie z etyki lekarskiej, śród jej wyznawców wywołał oburzenie; podobno mieli oni wytoczyć sprawę przed sąd Towarzystwa lekarskiego; znając wszakże trwałość tego rodzaju oburzeń i koleżeństwo tych, którzy ostentacyjnie i przy każdej sposobności tytułują się „kolegami,“ gotów jestem przypuścić, że ich gniew szybko zwietrzeje i że kwestya pracowni, zbogaciwszy nas o jedno wzruszenie więcej, utonie w naszej bezdennej tolerancyi.

Przepraszam — zapomniałem dokończyć mojej rozmowy z cyklistą. Powiedział on mi przed rozstaniem:

— Wy wszyscy kaznodzieje, reformatorowie, krytycy społeczni, podobni jesteście do dzieciaków, wtykających kije między koła maszyny, ażeby ją powstrzymać. Maszyna kij złamie, czasem palec lub rękę oberwie i dalej swój ruch odbywać będzie. Świat nie jest stworzony dla poetów, artystów, filozofów i ideologów, lecz dla ludzkiej masy. Ta masa, ten wielki słoń, jedząc ryż lub trzcinę, nie przeszkadza motylom wysysać słodyczy z kwiatów, ale niech ono nie drażnią go i nie kąsają w trąbę.

Miliard racyj!

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

W SEKCYI ROLNEJ.

Za wiele delegacyi, za mało działalności.— Reforma.— Delegacye stałe. — Nawozy sztuczne i zapowiedź tej gałęzi przemysłu u nas. — Zawieszenie czynności w sprawach melioracyi. — Delegacya leśna. — Odczyt p. Napiórkowskiego o zabezpieczeniu bytu najmitom wiejskim. — Spory. — Co w tym przedmiocie u nas zrobiono i powiedziano.

Na posiedzeniu poniedziałkowem sekcyi rolnej w oddz. warsz. Tow. popier. rusk. przem. i handlu zrobiono przegląd dotychczas stworzonych delegacyi i ich działalności. Otóż owoce kilkoletniej pracy przedstawiły się bardzo skromnie, nawet zanadto skromnie. Zwykle kwestyę podniesioną na posiedzeniu oddawano do rozporządzenia pośpiesznie stworzonej delegacyi. Skutkiem tego zapanowała jakaś doraźność w traktowaniu wszelkich spraw, chaotyczne rozproszenie działalności rozpostartej na licznych barkach, nie zawsze może odpowiednich. Obecne prezydyum (złożone z hr. Feliksa Czackiego, przewodniczącego i pp. Józefa Jeziorańskiego i Władysł. Habdank-Korzybskiego (wice-przewodniczących) oceniło nareszcie wadliwość tego systemu i postanowiło delegacye okolicznościowe przetworzyć na stałe, rozumie się, z odpowiednim ich ograniczeniem liczebnem. Oto jest szereg dotychczas wybranych: sobieszyńska dla oceny nasion, wełniana, nawozowa, mleczna, kartoflana, wystawowa, taryfowa, ubezpieczeń, drogowa, oceny spraw melioracyjnych, przemysłu miejskiego, dewastacyjna, syndykatu nawozowego, dla oceny rachunkowości p. Bończy, kredytu melioracyjnego, bankowa, sztucznej kultury drożdży, dla ustalenia stosunku między plantatorami buraków i cukrownikami, dalej: delegacya uprawy roślin przemysłowych, dla prób nawozowych, dla oceny rachunkowości małżonków Meyiertów, do spraw wydziału melioracyjnego. Jak widzimy, częstokroć zupełnie pokrewne sprawy miały po parę delegacyi, które zamiast szybkiego rozstrzygania, wpływały na opieszałość, na marnowanie sił, czasu, a przedewszystkiem — słów. Dodać muszę, iż pod tym ostatnim względem wyniosłem z niniejszych obrad dodatnie wrażenie. Uczestnicy, zwykle tak hojni w bezowocnych dyskusyach, tym razem byli powściągliwi i poprzestawali tylko na uzupełnianiu niedokładności, poczynionych przez głównych wnioskodawców. Taka zwięzłość i ograniczenie gadulstwa jest bardzo pożądana. Sprawozdanie z działalności delegacyi wykazało, iż najowocniejsza była — do prób nawozowych. Rolnikom rozesłano 250 odezw o wyznaczenie gruntów doświadczalnych, otrzymano 105 przychylnych odpowiedzi, w 70 zaś miejscowościach próby są istotnie prowadzone. Wogóle produkcya sztucznych nawozów w kraju dopiero dziś zaczyna być na seryo traktowaną. W Kucharach Kościelnych, majątku p. Wichlińskiego, odbyła

się w tych dniach narada ziemian, na której postanowiono założyć fabrykę w Kutnie z filią w Kole, tak iżby znaczna liczba właścicieli ziemskich mogła z nawozów łatwo korzystać. Jak zwykle, chodzi tylko... o kapitalistę, który zechciałby nabyć akcyi za 30,000 rs. Sprawa atoli bierze pomyślny obrót, bo podobno nadeszły już z dwu stron deklaracye, wyrażające gotowość nabycia akcyi nawet do 50,000 rs.

Reforma w łonie sekcyi rolnej ma na tem polegać, iż utworzone będą cztery stałe delegacye: 1) Dla zadrzewiania nieużytków i wyszukiwania odpowiednich środków po temu, 2) dla ułatwienia ziemianom nabywania nawozów mineralnych, 3) dla badania stosunków przemysłowo-rolnych i 4) dla działań w sprawie zabezpieczenia bytu oficyalistów wiejskich. Godnem będzie uznania wprowadzenie nowego żywiołu do delegacyi i obrad, mianowicie pracowników obeznanych fachowo z przemysłem rolnym i leśnictwem. Dotąd oficyaliści, pomimo nawet wyższego wykształcenia, nie mieli wstępu do owej instytucyi. A przecież ich wiedza i doświadczenie więcej jest warte niż samouctwo większości właścicieli ziemskich. Uzdolniony agronom lub leśnik może dać wiele cennych wskazówek i przyczynić się do łatwiejszego rozstrzygnięcia spraw ważnych. Do stałych zaliczono również: delegacyę przemysłu drobnego wiejskiego i chmielarską, która działa dotąd osobno, w przyszłości zaś włączona będzie do sekcyi rolnej. Nie możemy dziś jeszcze przesądzać prac przyszłych stałych delegacyi. W każdym atoli razie reforma niniejsza świadczy o coraz właściwszem traktowaniu rolnictwa, jako wieloramiennego przemysłu. Dotąd widzieliśmy wyodrębnianie chmielarstwa i lekceważenie leśnictwa; poprawa w tym względzie jest już ważnym krokiem.

Na ostatniem posiedzeniu p. Napiórkowski wypowiedział odczyt w sprawie nienowej — o zabezpieczeniu emerytalnem oficyalistów wiejskich. Samo podniesienie kwestyi tam, skąd można ją pchnąć na tory praktyczne, jest już zasługą autora. Mówca zwraca uwagę na owe niepożądane zjawisko — zmiany służby folwarcznej stale po św. Marcinie. Zdaniem jego, nałóg owej wędrówki tak wsiąkł w krew ludu, że zmienia on służbę częstokroć bez żadnych przyczyn, pomimo że krzywdy nie zaznał; ale po za tem autor widzi inne jeszcze powody: złe traktowanie przez pracodawców i namowy faktorów (nizkie wynagrodzenie pomija). Otóż w mniemaniu wnioskodawcy, zapobiedz złemu może następujący środek. Każde wyprawienie parobka i sprowadzenie nowego kosztuje ziemianina przeciętnie 4 rs. Gdyby zatem odkładać ową sumę co rok dla zabezpieczenia starości parobka, nie miałby on potrzeby zmieniać miejsca. Po dziesięciu latach można byłoby podnieść składki do 6 rs. rocznie. Tym sposobem pracodawca zyskałby „przywiązanego“ parobka tylko za tę sumę, jaką wydaje co rok na furmanki, ten zaś ostatni — kwotę na podtrzymanie bytu w okresie niedołęztwa. Oprócz tego, p. N. podaje inny projekt — ubezpieczenia życia i renty dożywotniej. Przy tej sposobności obecny na posiedzeniu p. Bruzda, przedstawiciel jednego z towarzystw asekuracyjnych, zwrócił uwagę na ruch w tej mierze, panujący śród ziemian suwalskich. Są oni bardzo chętni do ubezpieczania swych oficyalistów i nawet złożyli na początek deklaracye zaopiekowania się grupą, złożoną z dwustu kilkudziesięciu osób. Ktoś inny, uczestnik sporu, zaznaczył, iż asekuracya wszelka w formie proponowanej jest uciążliwa dla pracownika, że pociąga za sobą składki, wynoszące niemal 50% zarobków. Radzi więc posługiwać się prostszym typem kas oszczędności, istniejących w Cesarstwie. Podniesienie owej sprawy w łonie sekcyi ma tę dobrą stronę, że się poruszy na nowo, że będzie popychana przez osobną delegacyę i z czasem może w jakiejbądź formie urzeczywistni się w czynie. W rzeczonych pomysłach nic nowego nie ma. P. Napiórkowski mówi tylko o zabezpieczeniu parobków, podczas gdy dwa lata temu grupa ziemian z pp. Chrzanowskim i Stamirowskim na czele opracowała szerszy projekt, obejmujący wszystkich oficyalistów wiejskich (o czem pisaliśmy w osobnym artykule, nr. 43 *Prawdy* z r. 1891). Warto więc, aby delegacya, biorąc rzecz poważnie, rozpatrzyła ten pomysł tudzież zwróciła uwagę na nagrodzoną rozprawę p. B. Zdziarskiego i odznaczoną p. Modzelowskiego na konkursie, ogłoszonym 1888 r. przez studentów Instytutu w Nowej Aleksandryi. Może się z tych wszystkich planów wykluje coś, co przyniesie ulgę, chociaż doraźną, pracownikom wiejskim.

P.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Brak gotówki. Od paru miesięcy stopa dyskontowa w warszawskich instytucyach bankowych niezwykle wzrasta i obecnie, jak zaznacza *Kuryer warsz.*, doszła do wysokości oddawna niebywałej. Jednocześnie daje się odczuwać brak gotówki, który się zjawia na rynku warszawskim corocznie w jesieni, gdyż w tym czasie kupcy czynią najwięcej zakupów, inni zaś realizują weksle itd. W roku bieżącym jednak brak gotówki uczuwać się dawał już w lecie. Dawniej instytucye finansowe zagraniczne miewały znaczne sumy w tutejszych domach bankowych dla łatwiejszego pokrywania różnych rachunków handlowych, własnych i kupców zagranicznych, nabywających tutaj towary. W ostatnich czasach, jak wiadomo, stosunki handlowe z Niemcami toczą się po bardzo wązkich drogach, więc i zagraniczni finansiści uważają za zbyteczne trzymanie depozytów w Warszawie. Minister skarbu zwrócił uwagę na niedostateczną ilość banknotów obiegowych w państwie, więc się stara temu zapobiedz. W tym celu pójdzie w obieg nowych banknotów na sumę 25 milionów rubli.

— Ministeryum dóbr państwa zaleca znów obywatelom ziemskim zwrócić uwagę na wywóz wieprzowiny za granicę. Agent ministeryum, p. Bodlisko, który specyalnie badał tę gałąź handlu na rynkach zagranicznych, twierdzi, że jeśli przyjąć średnią cenę produktów na 100 fr. za 100 kilogr. (cena bardzo nizka), to się otrzyma 6 rs. 16 kop. za pud. Przedsiębiorstwo wywozu wieprzowiny na wielką skalę tworzy się obecnie w majątku hr. Sołłohuba na granicy austryackiej.

— Ruska misya dyplomatyczna w Lizbonie przesłała przedstawienie do ministeryum spraw zewnętrznych o konieczności zawiązania bezpośrednich stosunków handlowych Rosyi z Portugalią. Ruskie drzewo, len, konople, tytoń, sól, mogą liczyć na ogromny zbyt na rynkach portugalskich. Przedmioty te i obecnie są nabywane z Rosyi, ale za pośrednictwem rynku angielskiego. Po zawiązaniu zaś stosunków kilka milionów rubli, płaconych tytułem komisowego, pozostanie w Rosyi. (*Warsz. Dniew.*).

— Według urzędowych raportów weterynarzy, śród trzody chlewnej panuje groźna zaraza we wsiach: Leszno, Wierzewice, Bronkowie, Falęcicach, Michałowicach, Goszczynie, Chrzczonowicach i Strzelcach. W miejscowościach tych padło 163 sztuki. Karbunkuł śród bydła szerzy się dotąd w Nieporęcie pod Warszawą.

— Dla podtrzymania cen zboża, ministeryum skarbu zaleciło instytucyom rządowym nie sprzedawać tego produktu ze zwróconych zapasów, pożyczonego włościanom zboża podczas nieurodzaju. Zapasy te wynoszą obecnie około pięciu milionów pudów.

— *Torg. prom. gazeta* donosi, że na wystawie w Chicago zboże ruskie okazało się wyższe od amerykańskiego.

— Ministeryum dóbr państwa uzyskało na rok przyszły kredyt 80,000 rs. na ulepszenia w zakresie przemysłu drobnego.

— Ministeryum dóbr państwa i rolnictwa deleguje za granicę agronomów dla zbadania organizacyi syndykatów rolniczych.

— W Olicie (gub. suwalskiej) postanowiono urządzić magazyn żywnościowy 2-ej klasy.

— *Gazeta losowań* twierdzi, iż sprawę założenia oddziału Banku państwa w Będzinie uważać można za postanowioną w zasadzie. Są również pewne widoki na przywrócenie oddziału Banku w Kielcach. Co do Włocławka — sprawa w zawieszeniu.

— Ruskie Towarzystwo morskiej, rzecznej i lądowej asekuracyi i transportowania ładunków tudzież Towarzystwo dostawy towarów i wydawania zaliczek, połączyły się w jedno przedsiębiorstwo pod nazwą: „Ruskie Towarzystwo morskiej, rzecznej i lądowej asekuracyi transportowania ładunków i — składów towarowych, z wydawaniem zaliczek.“ Interesy zapewne będą tak obszerne, jak sam tytuł.

— Spółka szewców w Radomiu otworzyła nowy tani sklep z obuwiem.

— Wobec zupełnego upadku pszczelnictwa barciowego, departament leśny (za staraniem Towarzystwa pszczelniczego w Petersburgu) opracował szereg środków, mających na celu podniesienie tej gałęzi przemysłu. Między innemi postanowiono zapewnić pasiecznikom i strażnikom leśnym pomoc w urządzeniu pasiek i ulgi w ich prowadzeniu. Nadto, zaprojektowano utworzyć przy szkołach departamentu leśnego pasieki, dla obeznania niższej służby leśnej z gospodarką barciową. Opracowany w tym przedmiocie projekt uzyskał już zatwierdzenie ministeryum rolnictwa i dóbr państwa. (*Nowosti*).

KRONIKA.

Sprawy społeczne. W roku przyszłym zacznie obowiązywać nowe prawo o wydawaniu przywilejów na wynalazki. Termin przywilejów przedłużono będzie do lat 20-tu, opłata zniżona do 10 rs. za rok pierwszy i po 5 rs. za lata następne. Przed przyznaniem patentów wydawane będą świadectwa tymczasowe.

— Ministeryum sprawiedliwości podniesie skalę wynagrodzenia członków sądów okręgowych. Pod względem etatów okręgi podzielone będą na wzór urządzeń francuskich: W pierwszej kategoryi (Petersburg i Moskwa) pensya 3,500 rs. (o 1300 więcej niż obecnie), w drugiej (Warszawa, Odesa, Kijów, Charków) 3,000 rs. itd. (*Peterb. Wied.*).

— Kasa pożyczkowa przemysłowców m. Kalisza liczy 80 członków. Udziały wynoszą rs. 1336; na lokacyi procentowej w kasie złożono rs. 1074. Pożyczek udzielono na sumę 1775 rs.

— W ciągu sierpnia r. b. z pow. rypińskiego, lipnowskiego i płockiego wyemigrowało do Ameryki około 40-tu osób, włościan i żydów. Ci ostatni stanowią około 50% (*Warsz. Dniew.*).

— *Warsz. gub. wied.* piszą: „W d. 18 września r. b. o godz. 2-ej po połud. przez osadę Żyrardów przejeżdżał oddział dragonów 42 pułku mitawskiego pod dowództwem korneta Biriukowa. Zebrani na ulicy chłopcy zaczęli na dragonów rzucać kamieniami, przy czem kornet Biriukow został trafiony w ramię. Jeden z chłopców, Paweł Bedelek, został zatrzymany i odesłany do urzędu gminnego, lecz na prośbę korneta Biriukowa chłopca wypuszczono. Naczelnik straży ziemskiej pow. błońskiego, podpułkownik Ganecki, otrzymawszy wiadomość o wypadku, udał się do kancelaryi gminy Żyrardów, gdzie zgromadził wszystkich chłopców, którzy się znajdowali na ulicy podczas przejazdu dragonów. Badania wykryły, że kamieniami rzucali: syn stałego mieszkańca gminy Żyrardów, Paweł Bedelek (10 lat), syn stałego miesz. pow. łaskiego 12-letni Karol Miller, synowie stałych mieszkańców gm. Żyrardów: 14-letni Franciszek Janiszewski, 12 letni Antoni Janiszewski i 11-letni Feliks Jankowski. Wymienieni chłopcy w kancelaryi żyrardowskiego urzędu gminnego w obecności naczelnika straży ziemskiej zostali przez rodziców ukarani chłostą od 10-ciu do 15 rózg, w stosunku do winy i wieku.“

— Poselstwo brazylijskie w Petersburgu zawiadamia o wzbronieniu wyjazdu do portów Brazylii wszystkim emigrantom z powodu cholery w Europie.

Szkoły. Jan Beaudouin de Courtenay i V. Oettinger, opuścili uniwersytet w Jurjewie. Pierwszy udał się do Krakowa, drugi do Lipska.

— Przy uniwersytecie moskiewskim utworzono naukę deklamacyi dla wszystkich studentów.

— Urzędnicy kolei Finlandzkiej (idącej z Petersburga) zobowiązani zostali do uczęszczania do szkoły dla nabycia znajomości języka ruskiego.

— W dąbrowskiej szkole sztygarów próby praktyczne stały się obowiązującemi. Za czas praktyki ucznowie otrzymują według normy ogólnej 30 — 60 rs. miesięcznie.

Zdrowie publiczne. Utrzymujący krowiarnię przy ul. Muranowskiej w Warszawie, Chaim Moszek Bersenbaum, skazany został na 50 rs. kary za fałszowanie i sprzedaż niezdatnego do użytku mleka.

— Z dokonanych rewizyi sanitarnych okazało się, że pod nr. 31 na Starem Mieście stróż mieszka w ciemnej wilgotnej i nieopalonej komórce, a pod nr. 10 przy ul. hr. Kotzebuego w ciemnej i przyległej do ustępu izbie. P. Oberpolicmajster wydał rozkaz, skłaniający wogóle właścicieli domów do umieszczenia stróżów w mieszkaniach zdrowych.

Sprawy kolejowe. Wobec zwiększonego ruchu towarowego na kolejach, wyszło rozporządzenie ministra komunikacyi, upoważniające dyrektorów do powiększenia normalnej ilości godzin pracy służby pociągowej, w miarę potrzeby. Zastrzeżono jednak, aby średni odpoczynek w ciągu 10 dni nie był mniejszy niż 9 godzin na dobę, a nadto, aby maszynista, prowadzący pociąg, nie był dłużej nad 18 godzin bez przerwy na parowozie. W razie znużenia, służba parowozowa obowiązana jest zawiadomić bezpośrednią władzę, dla zarządzenia zmiany.

— Sprzedaż biletów powrotnych, tańszych o 30% do Ciechocinka, wydawanych w soboty i w przeddzień świąt, ustała z powodu zakończenia sezonu kąpielowego.

— Od 1 października zmienione zostają dotychczasowe stawki taryfowe w kierunku przez Wierzbołów komunikacyi bezpośredniej pomiędzy stacyami kolei Libawsko-Romeńskiej, a okręgów kolejowych wrocławskiego i berlińskiego (Frankfurt nad Odrą) oraz stacyami kolei pruskiej południowo-wschodniej, na przewóz pustych worków i drzewa budulcowego.

OFIARY.

Na kolonie letnie od L. Lep. i J. Środ. rs. 6 z Żytynia.

Na Kasę Mianowskiego polacy z Astrachania rs. 19.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Октября 1893 г.

Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.